POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień — ***Dnia 3-go lipca 1943r.*** — **Rok V. Nr. 26**

W STRONĘ MORZA

Dorocznym już zwyczajem przesyłamy w "Święto Morza" braterskie pozdrowienia Marynarzom Polskiej Floty Handlowej, zapewniamy o naszym podziwie dla ich żmudnej i niebezpiecznej służby, która w czasie wojny musi być poczytywana za służbę żołnierską, za służbę o najbardziej doniosłym znaczeniu dla wysiłku zbrojnego Wolnych Narodów.

"Polska Walcząca" była pierwszym pismem polskim w Wielkiej Brytanii, które zaczęło swych czytelników regularnie informować o naszych sprawach morskich, poświęcając im nadto specjalnie dużo miejsca w okresie Święta Morza. To mnie upoważnia do nowego wykorzystania łamów "Polski Walczącej," by — z okazji czwartego Święta Morza, obchodzonego poza Krajem— przypomnieć stare prawdy o polskim zagadnieniu morskim, prawdy stare, lecz zawsze aktualne, zwłaszcza, że jeszcze wielu z nas albo ich nie rozumie, albo też rozumieć nie chce.

Zgadzamy się już bezwarunkowo wszyscy z tym, że Polska musi posiadać szeroki, strategicznie bezpieczny i dogodny dostęp do morza. Już nawet wielu naszych Sojuszników zgadza się z tym punktem widzenia.

Znaczna większość społeczeństwa rozumie również, że dla zabezpieczenia tego wybrzeża morskiego, dla zabezpieczenia szlaków, łączących to wybrzeże ze światem, niezbędna jest naprawdę silna Marynarka Wojenna. Wprawdzie jest jeszcze sporo takich, którzy nazywają marynarkę wojenną "zbyt kosztowną zabawką" i chcą ją zastąpić samolotami, względnie obcą flotą wojenną. Ta grupa "niedowiarków" jednak nie ma już dziś —na szczęście—znaczenia, a pod wpływem wspaniałych czynów okrętów Rzeczypospolitej w toku obecnej wojny—może i ona wreszcie przyłączy się do tych, którzy będą po wojnie głosować za dostatecznie dużym budżetem dla Polskiej Marynarki Wojennej.

Pozostają jeszcze morskie zagadnienia gospodarcze, zagadnienia na odcinku morskim bezsprzecznie najważniejsze, bo jeśli nie postawimy ich na właściwym poziomie, wybrzeże nasze, choćby najdłuższe, nie będzie posiadać żadnej wartości, wybudowanie zaś silnej marynarki wojennej będzie niemożliwością, gdyż tylko dobrze zagospodarowane na morzu państwa mogą pozwolić sobie na silną flotę wojenną.

Tymczasem morskie problemy gospodarcze nie są przez nas dostatecznie doceniane, ani nawet rozumiane. Szereg publicystów słusznie zwracał uwagę, że Polacy morze głęboko pokochali, przywiązali się do niego. Ale szeroki ogół nie docenił jeszcze jego wielkich wartości materialnych.

Krótko mówiąc — nauczmy się patrzeć na sprawy morza oczami kupca. Tak robili i robią Brytyjczycy, Holendrzy, Belgowie, Norwegowie, Szwedzi i inni. Sentyment i przywiązanie do morza było u nich zjawiskiem wtórnym, pokochali bowiem morze dopiero później, do pewnego stopnia za to, że umożliwiło im podniesienie ogólnej stopy życia.

Pójdźmy więc ich śladem. Zbogacić się musimy, bo jesteśmy krajem bardzo biednym, a teraz już kompletnie zrujnowanym. Morze zaś kryje te bogactwa, których nasz kraj potrzebuje.

A jakież to bogactwa? I jakie interesy związane są z morzem?

Jest tego dużo. O każdym przedsięwzięciu, związanym z morzem, można by napisać obszerny artykuł. Ograniczę się tu jednak tylko do wyliczenia przedsięwzięć zasadniczych, które — urzeczywistnione — staną się źródłem dobrobytu materialnego społeczeństwa polskiego.

Zaopatrzenie portów nowego szerokiego wybrzeża polskiego w urządzenia techniczne, a przemysłu portowego, zwłaszcza stoczni, w maszyny i wyroby hutnicze zatrudni wszystkie huty polskie i dużą część ciężkiego przemysłu przez wiele lat, zapewniając w tym okresie pracę tysiącom ludzi, przy czym wszelkiego rodzaju technicy będą cenieni wprost na wagę złota.

Na samym wybrzeżu dla kapitału otwierają się zupełnie realne możliwości w budowie nowych i rozbudowie istniejących stoczni okrętowych wojennych i handlowych, rybackich i yachtowych, w związku z czym dla wielu tysięcy inżynierów, techników, mechaników i robotników z całego kraju widoki osiedlenia się nad morzem i pracowania w przemyśle budowy okrętów, który ma w Polsce zapewniony rozwój na wiele lat, powinny być zachęcające.

Kapitał, i to drobny, oraz nowe tysiące ludzi znajdą zatrudnienie i dobry interes we wszystkich przemysłach pracujących w związku z eksploatacją morza. Na wybrzeżu bowiem muszą powstać fabryki beczek, skrzyń, różnego typu sieci, lin, i.t.p.

Specjalnie popłatnym terenem dla każdego drobnego ciułacza będzie rybołóstwo morskie. Będzie można tworzyć drobne towarzystwa rybołówcze zaczynając n.p. już od jednego kutra; bardziej przedsiębiorczy wyjdzie na własnym większym stateczku na szersze wody, na Morze Północne; inny będzie mógł zainteresować się przemysłem pokrewnym, n.p. wędzarnią ryb, zamrażalnią, fabryczką konserw, i.t.p.

Ludzie z zacięciem kupieckim będą mogli organizować firmy importowo-eksportowe, handlując z całym światem, poważniejsi kupcy założą wielkie składnice hurtowe, które powinny zaopatrywać w sprowadzane z daleka towary już nie tylko cały kraj, ale również sąsiednie państwa, przede wszystkim państwa bałtyckie i sąsiadów naszego południowego zaplecza. Organizacja handlowa portów będzie wymagała wielu banków, giełd, różnego typu aukcyj, arbitrażu oraz wielu urzędów, a to oznacza znów wielkie możliwości dla dalszych tysięcy ludzi.

To rozbudowanie przemysłu, przedsiębiorstw handlowych i t.p., a przede wszystkim rozmieszczenie wielu tysięcy ludzi, da olbrzymie wprost możliwości przemysłowi budowlanemu i jego licznym pokrewnym odgałęzieniom.

Wspomniałem tylko o niektórych ważniejszych możliwościach morskiego życia gospodarczego, czekającego nas po powrocie do Kraju. Rozmyślnie nie wymieniłem dotąd najważniejszego odcinka—marynarki handlowej. Ona jest podstawą całej polityki gospodarczej na morzu, od jej wielkości, od jej pracy i rozwoju zależne są wszelkie inne odcinki morskiego życia gospodarczego. Bo tylko wówczas, gdy posiadać będziemy odpowiednią do naszych potrzeb flotę handlową, uzasadniona będzie rozbudowa portów i wybrzeża, przemysłu i handlu portowego.

Własna duża flota handlowa pozwoli polskiemu producentowi dotrzeć na obce rynki bez cudzego pośrednictwa, konsumentowi zaś ułatwi robienie zakupów tam, gdzie mu to najbardziej odpowiada. Najważniejsze zaś jest to, że posiadając własną flotę handlową, za usługi eksportowo-importowe płacić będziemy polskim przedsiębiorcom żeglugowym. Ogromne sumy pieniędzy pozostaną więc w kraju, umożliwiając wciąż dalszą rozbudowę naszego odcinka morskiego, a tym samym zatrudniając wciąż nowe tysiące ludzi. W ten sposób — stopniowo —wzrastać będzie zamożność i kraju i jednostek.

Powie ktoś, że to mrzonki, nierealne frazesy. Pesymistom radzę dowiedzieć się, jak powstawały przedsiębiorstwa na odcinku morskim /i nie tylko morskim/ w Wielkiej Brytanii, Holandii, Belgii, Norwegii i Szwecji. Tylko przedsiębiorczość, spryt, zdrowe, solidne i uczciwe zasady kupieckie stworzyły w tych państwach wspaniały handel morski i to często z niczego.

Ktoś inny powie, że wybudowanie floty handlowej, obsługującej cały nasz handel morski, jest niemożliwością. Ten ktoś będzie miał częściowo rację, bo takiej floty handlowej nie miały i nie mają nawet największe państwa morskie, nie wyłączając Wielkiej Brytanii. Zresztą, gdybyśmy dążyli do obsługiwania naszego handlu morskiego wyłącznie polskimi statkami, spotkalibyśmy się ze zdecydowanym sprzeciwem tych, którzy już na wiele lat przed nami opanowali morskie szlaki handlowe świata.

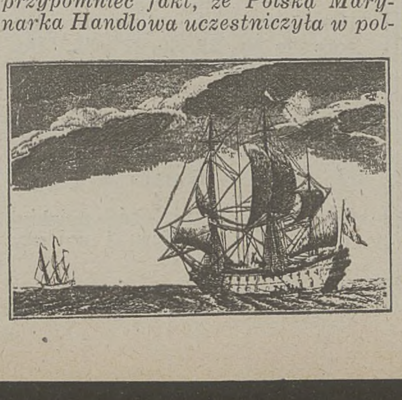
Mamy natomiast prawo i obowiązek dążyć do tego, by bilans za usługi na odcinku morskim był dodatni. Na to trzeba floty handlowej, któraby była zdolna przewozić przynajmniej 50% naszych obrotów drogą morską.

A jak było dotychczas? W najlepszym wypadku flota nasza przewoziła 7% naszych obrotów handlowych drogą morską. A więc za przewiezienie 93% naszych ładunków musieliśmy płacić obcym. Jedynym na to lekarstwem jest dostatecznie wielka flota handlowa.

A jaki powinien być tonaż tej floty? Jak go osiągnąć? Czy się u nas już coś robi na tym odcinku? Czy możemy liczyć na pomoc obcą? I jak ci obcy zapatrują się na nasze tak ambitne plany na tym odcinku? Pytania powyższe wydają się trudne do odpowiedzi, a przede wszystkim kłopotliwe. Jednak tak nie jest.

O zamiarach Polski pisał już swego czasu czołowy organ brytyjskiej żeglugi, "*Fairplay.*" Pismo to stwierdziło:

"*O całkowite wyłączenie wpływów żeglugi obcej z handlu morskiego — jak to twierdziła propaganda niemiecka — nigdy Polakom nie chodziło, gdyż każdy rozumie nonsens takiego stawiania sprawy. Wystarczy przypomnieć fakt, że Polska Marynarka Handlowa uczestniczyła w polskim handlu morskim zaledwie w 7%. Dalsza więc jej rozbudowa jest nie tylko dążeniem uzasadnionym, ale nawet, z punktu widzenia interesów Wielkiej Brytanii, koniecznym. Przecież Wielkiej Brytanii zależy na sojuszniku silnym, także pod względem gospodarczym.*"



"*Dlatego dążenie Polski do poważniejszego podwyższenia udziału jej bandery narodowej w handlu morskim, należy uważać za uzasadnione. I z tego także powodu urzeczywistnienie przedwojennych planów Polski wybudowania floty handlowej o tonażu 650.000 B.R.T. powinno spotkać się ze zrozumieniem, a nawet poparciem ze strony Sprzymierzonych. Taka cyfra zresztą była uważana za słuszną i możliwą, gdyż celem jej było objęcie tylko części własnego handlu morskiego Polski, a bynajmniej nie zagrażała "status quo" innych narodów morskich, które, poza własnym handlem, obsługiwały jeszcze trzecie kraje, ciągnąc z tego wyraźne zyski dla swego kraju.*"

"*Fairplay*" zaznacza tu, że cyfra 650.000 B.R.T. zapewni polskiej flocie udział w polskim handlu morskim do zaledwie 40%, co — w porównaniu z innymi państwami morskimi — nie jest wiele. Margines dla udziału innych flot handlowych pozostanie wciąż bardzo duży.

Wśród tych "innych flot" nie może naturalnie więcej być statków niemieckich, co najmniej zaś udział ich w naszym handlu morskim musi zostać ograniczony do minimum. "*Fairplay*" i o tym wspomina:

"*Intencją Polaków jest, i każdy ich dobrze zrozumie, aby więcej nie dopuścić do tego, by niemieckie statki miały znów w poważniejszym stopniu uczestniczyć w transporcie polskiego handlu morskiego. Wiemy bowiem bardzo dobrze, że Niemcy wyzyskiwali swe pośrednictwo w polskim handlu zagranicznym dla celów politycznych . . .*"

Kogo zaś będziemy mogli zaliczać do owych "obcych flot," partycypujących wraz z naszą banderą narodową w polskim handlu morskim? "*Fairplay*" cytuje opinię polskich kół żeglugowych, stwierdzających:

"*. . . wojna obecna wykazała nam, kogo możemy uważać za szczerych przyjaciół i dla naszego bezpieczeństwa, tak gospodarczego, jak i politycznego, będzie najlepiej, jeśli tę dużą część naszego handlu morskiego, której nie zdołamy przewieźć na własnych statkach, powierzymy flotom handlowym naszych obecnych morskich Sprzymierzeńców, a przede wszystkim Wielkiej Brytanii . . .*"

Zadanie naszych kół morskich nie jest łatwe teraz, gdy przede wszystkim muszą być uwzględniane potrzeby wojenne. Tym niemniej decydujące o przydzielaniu nowego tonażu czynniki oceniają starania polskie pozytywnie. Oto na przykład co o tym pisze wychodzący w Wielkiej Brytanii dziennik norweski "*Norsk Tidend*":

"*Stosunkowo mała Polska Marynarka Handlowa znalazła tak wielkie uznanie, że w porównaniu z tonażem i stratami innych flot sojuszniczych otrzymała proporcjonalnie więcej nowych statków, względnie zezwoleń na budowę, niż jakakolwiek inna marynarka handlowa Sprzymierzonych . . .*"

Krótka ta notatka mówi sama za siebie. Należy przytem zwrócić uwagę, że akcentuje ona fakt, iż starania naszych władz morskich o powiększenie tonażu są w miarę możności uwzględniane przede wszystkim dzięki uznaniu Sojuszników dla pracy i wartości polskiej floty. Oficerowie i marynarze nasi mogą być dumni, że w ten sposób przyczyniają się do rozwoju Polskiej Marynarki Handlowej.

Tym niemniej — należy o tym pamiętać — z powodu olbrzymich zapotrzebowań Sojuszników przede wszystkim w dziedzinie żeglugi morskiej — nawet najintensywniejsze starania naszych władz morskich nie doprowadzą do poważnej rozbudowy polskiej floty handlowej już w toku obecnej wojny. Natomiast musi to nastąpić już w pierwszych latach po wojnie. Nasze władze państwowe muszą zażądać przydzielenia nam części floty handlowej Niemiec jako częściowej rekompensaty za zniszczenia, dokonane w naszej gospodarce narodowej. My sami musimy dążyć do jak najszybszego uruchomienia i dalszej rozbudowy stoczni, które zastaniemy na naszym wybrzeżu.

Ale tym nie wybudujemy jeszcze potrzebnej floty szacowanej na 850.000 T.R.B. Należy więc nadto — i już teraz — wejść w porozumienie z obcymi stoczniami, przede wszystkim zaś ze stoczniami brytyjskimi i skandynawskimi, produkującymi najlepsze jednostki handlowe w świecie. Zwłaszcza pamiętać należy o stoczniach brytyjskich, które wybudowały nam m.inn. "Sobieskiego," "Robur VIII," "Lidę," "Hel," "Lech," "Puck," "Warszawę," "Wisłę," "Kościuszkę," "Pułaskiego," "Jadwigę," "Wandę" i inne. Ważny też jest moment, że ze stoczniami brytyjskimi możemy wejść w kontakt już teraz, wykorzystując naszą obecną z nimi współpracę na odcinku wojennym.

Starania nasze powinny znaleźć zrozumienie w brytyjskich kołach żeglugowych. Świadczą o tym cytowane już opinie "*Fairplay*" oraz "*Norsk Tidend.*" Świadczy o tym także opinia innego poważnego brytyjskiego pisma żeglugowego "*The Motor Ship.*" W swym czerwcowym numerze pismo to stwierdza:

"*W powodzi tego wszystkiego, co dotąd pisano, lub powiedziano na temat powojennej żeglugi morskiej — nie dostrzeżono roli mniejszych państw w tej dziedzinie. Układając plany powojennego lepszego świata, w którym standard życia ma być wyższy, niż był w przeszłości, nie będziemy — mamy taką nadzieję — zbyt wielkimi egoistami. Spodziewamy się, że równe korzyści zostaną udostępnione ludności tych państw sprzymierzonych, które, za pośrednictwem swej żeglugi morskiej udzieliły nam tak bezcennej pomocy w okresie, gdy każdy statek miał ogromne znaczenie, ułatwiając nam samym przetrwać w obliczu nieprzyjaciela, mającego przewagę we wszelkich typach broni, za wyjątkiem okrętów i statków . . .*"

Ze wszystkiego, co tu dotąd powiedziano jedno wynika niezbicie: koniunktura dla rozbudowy naszej gospodarki na morzu jest dobra. Ale sama koniunktura nie wystarcza. Zadecyduje to, czy sami tę koniunkturę potrafimy wykorzystać, czy wszyscy bez wyjątku zrozumiemy wielkie wartości materialne, kryjące się w morzu, czy raz jeszcze potrafimy zdobyć się na olbrzymi i trwały wysiłek pracy, którego "uprawa morza" wymaga.

Spróbować warto, umiejętne wyzyskanie bogactw morza da bowiem bogactwa naszemu biednemu krajowi, a jednostkom, które poświęcą się rzetelnej pracy na morzu, zapewni dobrobyt materialny, dając przytem satysfakcję, że równocześnie dobrze się zasługują krajowi.

WIESŁAW WALIGÓRSKI

Szkic sytuacyjny

W ZAWIESZENIU

Nie po raz pierwszy w bieżącym okresie piszący te słowa zastanawia się, jakie wydarzenia wysunąć na front tygodniowego przeglądu i jak ująć swoje uwagi. Stan zawieszenia i niepewności, jaki waży się nad frontami, sprawia, że *niewiele nowych czynników* pojawia się w odstępie tygodnia. Można by powiedzieć, że w zasadniczych liniach nie widać żadnej szczególnej zmiany i że dalej mamy do czynienia z następującymi cechami głównymi:

1/ *na froncie wschodnim utrwala się zastój*, co bynajmniej nie przesądza ruszenia się tego frontu w jakimś okresie. Obie strony na pewno zgromadziły na tym froncie wielkie siły. Podczas gdy *strona sowiecka przygotowuje się zapewne do uderzenia zimowego, strona niemiecka jakgdyby decydowała się na rezygnację z uderzenia w lecie.* Dotychczasowa teza co do frontu wschodniego przedstawiała się tak, że Rzesza posuwa się w ciągu lata, mając przewagę " letniej " strategii, podczas gdy sezonem Rosji jest zima, w czasie której Rosja głównie zadaje ciosy; tymczasem Rzesza rezygnuje coraz wyraźniej z uderzenia letniego. *Front wschodni jest zagadką dla strategów*, walki ograniczają się do starć powietrznych, do bombardowań ośrodków przemysłowych poza frontem, przyczem flota powietrzna Sowietów uderza coraz częściej. Dowodziło by to, że *siły jej bombowców wzrosły*, dotychczas bowiem uważaliśmy, że właściwą dziedziną sukcesów floty czerwonej jest lotnictwo myśliwskie.

2/ *na południu nie wyjaśnił się kierunek uderzenia.* Przez jakiś czas wszyscy stawiali na Włochy i mówili, że *Włochy pójdą pod nóż.* Włochy cierpią nadal od bomb, ale nie wiemy dzisiaj, czy istotnie inwazja kontynentu zacznie się od Włoch. *Źródła neutralne, głównie tureckie, powiadają, że może jednak cios nie spadnie na Włochy, że może alianci grają na zmylenie.* Tego rodzaju gra nie byłaby niczym dziwnym, przeciwnie byłaby *uprawnionym manewrem wojennym.* Jest rzeczą znaną, że mylenie czujności, zwodzenie wroga, należy *do najtrudniejszych manewrów wojennych.* Szczególnie dzisiaj, kiedy wywiad lotniczy może wybadać koncentracje wojsk, przesunięcia flotowe, koncentracje lotnicze, skupienia barek inwazyjnych i t.d.

3/ *na Zachodzie mamy dalej do czynienia z obrabianiem Rzeszy z powietrza.* Zdjęcia jakie ogłasza prasa brytyjska są tak wymowne, że nie potrzeba tutaj wielu komentarzy. Fotografie zniszczeń dokonanych w Duesseldorfie ujawniają *taki ogrom zniszczeń, że wojna lotnicza zaczyna w świetle tego nabierać innego sensu.*

WOJNA LOTNICZA W NOWYM WYDANIU

Trzeba sobie otwarcie powiedzieć że wydanie wojny lotniczej jakie przedstawiają nam Anglicy i Amerykanie na wiosnę i w lecie r. 1943-ego *jest bardzo groźne.* Znaliśmy w Anglii wydanie niemieckie z jesieni i zimy r. 1940/41, ale nie można porównać grozy niemieckiego bombardowania z tym, co dzieje się dzisiaj w zagłębiu Ruhry. Okazuje się, że *ciężar bomb i wielkie bombowce wielomotorowe są jednak czynnikiem jakby zmieniającym perspektywę wojny lotniczej.*

Niejednokrotnie przed rozpoczęciem tej wielkiej ofensywy lotniczej aliantów toczono dyskusje, czy można tym systemem bombardowania lotniczego powalić przeciwnika, czy można zniszczyć jego ośrodki przemysłowe, czy można doprowadzić do uszczuplenia produkcji wojennej, czy można sprawić, że wróg zacznie odczuwać dotykalnie ubytek tej produkcji, a ludność powoli paraliżowana będzie przez bomby.

Odpowiedź wielu znawców wypadała raczej wahająco. Wielu powtarzało, że tego rodzaju niszczące działanie lotnictwa nie może mieć zbyt poważnego wpływu. *Dzisiaj, na tle zdjęć lotniczych Zagłębia Ruhry, na tle stałego " nasycania " bombami okręgów Rzeszy, miasta po mieście, okręgu po okręgu, widzimy, że jednak życie przemysłowe Niemiec cierpi poważnie, że paraliż wielu ośrodków fabrycznych jest znaczny, że okręg Nadrenii staje się postrachem Rzeszy, że jest uważany za okręg jakby zapowietrzony.*

Tego rodzaju natarcie lotnicze, którego rozmiarów nie można było przewidzieć — albowiem w wojnie wszystko trzeba wypróbować przed wytworzeniem wniosków — *stawia wojnę lotniczą na nowym planie.* Czy wobec tego sojusznicy, zadowoleni z wyników i miarkując po wrzasku i krzyku Niemiec, że wojna taka załazi im za skórę, nie zechcą dojść do wniosku, że można jeszcze poczekać z uderzeniem od strony lądu?

Tego rodzaju możliwość istnieje. *Była by to rzecz niewątpliwie groźna i ryzykowną dla krajów okupowanych, które wiedzą, że jednak czas się liczy i że podmywanie zrębów cywilizacji Europy jest groźne i że nie należy wojny przewlekać. Przewlekanie się wojny nie jest dobrą wróżbą dla kontynentu europejskiego.*

Nie wątpimy, że wojna lotnicza może jeszcze uzyskać wielkie wyniki i niebywałe sukcesy. Może nam przynieść niespodzianki. Już dzisiaj wiemy, że *przy wielkich nalotach Rzesza nie polega na działach przeciwlotniczych ale na nocnych myśliwcach, albowiem działa zawodzą, a myśliwcy w wielkim tłoku, jaki panuje nad celami, mogą jednak zebrać większe żniwo.*

Zniszczenie jakiego dokonuje lotnictwo alianckie jest tego rodzaju, że *Rzesza musi bodaj przestawić ustalone plany.* Wydaje się, że wypadki zmuszają Rzeszę do " przeredagowania " raz jeszcze swoich planów i że będzie ona musiała odpowiadać na ciosy brytyjskie. Doniesienia neutralne mówią, że Rzesza buduje dzisiaj energicznie bombowce i że stara się ona o stworzenie siły bombowej, którąby mogła jakoś odpłacać się Anglii.

Przez czas jakiś Rzesza głosiła, że główny wysiłek spoczywa na froncie wschodnim. Dzisiaj decydując się na bierność na froncie wschodnim może ona przestawić swoje działania lotnicze. *Nie pierwszy raz w tej wojnie Rzesza zrozumiała, że robiła rachunek bez gospodarza. Nie doceniła ona rosnącej siły aliantów.*

INDIE I AUSTRALIA

Nominacja marszałka Wavella na wicekróla Indyj */Viceroy-Elect/* przyjęta została przez opinię Indyj spokojnie; a głosy prasy hinduskiej dowodzą, że wiąże się z osobą Wavella duże nadzieje. Poznał on bowiem Indie i ma zalety organizatorskie dużego kalibru.

Czy nominacja ta otworzy istotnie możliwości natarcia na Japonię wcześniej, nie wiemy. Pani Czang-kajszek, bawiąca obecnie w USA, powiedziała w swojej mowie, że jeżeli chcemy odbierać Japonii jej zdobycze " wyspa po wyspie, to zabierze nam to 50, a może i 100 lat." Uważa ona, i słusznie, że ataku dokonać należy *wprost na Japonię.* Rozumowanie to pokrywa się z rozumowaniem strategów sojuszniczych. Nie trudno zgadnąć, że istnieją dwie bazy do uderzenia: Rosja oraz Chiny. Rosja byłaby bazą idealną, ze względu na bliskość t.zw. przymorskiej prowincji w stosunku do rdzennej Japonii. Chiny są bardziej oddalone, ale mimo to dają możliwości bardzo poważne.

Strona chińska uważa, że Chiny muszą być dozbrojone i że *w danej chwili brak jest Chinom lotnictwa oraz ciężkiej artylerii.* Nie wiemy, jak przedstawia się zaopatrzenie Chin, ale wiele wskazuje na to, że *USA nie tylko nie zaniedbują tego zaopatrzenia, ale budują nowe drogi dla zasilania Chin.*

W związku z tym wymienić należy głosy z Australii, które domagają się silniejszego uderzenia zaczepnego z bazy australijskiej. Minister spraw zagr. Australii, bawiący obecnie w Londynie, złożył oświadczenie owiane duchem odwagi. Powiedział on, że Australia nie może mieć dalej 7 milionów mieszkańców, ale że musi ich mieć 25 milionów. Może ona wyżywić te miliony i po wojnie otworzy swoje granice.

Jest to oświadczenie, które tchnie duchem nowych czasów.

Londyn, dnia 26-ego czerwca, 1943.

ZBIGNIEW GRABOWSKI

Z tygodnia na tydzień

21 c z e r w c a : Prasa brytyjska podała do wiadomości, że samolot, którym powracał do Anglii premier Churchill, był na ostatnim etapie przelotu eskortowany przez myśliwce polskie. Zadanie to wykonał Poznański Dywizjon Myśliwski.

—700 bombowców Sprzymierzonych bombardowało Krefeld. W wyprawie tej wzięły udział polskie dywizjony bombowe.

22 c z e r w c a : Dalsze, miażdżące naloty R.A.F.'u na Zagłębie Ruhry. W nocy z 21/22 czerwca silny nalot na Muelheim.

—Uroczystości w Waszyngtonie i Chicago z okazji wydania specjalnego amerykańskiego znaczka pocztowego poświęconego Polsce. Przemówienia ministra poczty U.S.A. Waltera i ambasadora Ciechanowskiego były transmitowane przez wszystkie radiostacje St. Zjednoczonych.

23 c z e r w c a : Tragiczne wiadomości z Kraju o spotęgowaniu represyj niemieckich. 1800 osób aresztowano w Warszawie. Zostało stwierdzone, że w dniu 29 maja Niemcy rozstrzelali w Warszawie 400 mężczyzn i 26 kobiet.

24 c z e r w c a : Polskie dywizjony myśliwskie dokonały pięciu wypraw nad tereny okupowane przez nieprzyjaciela. W czasie walki z myśliwcami niemieckimi Polacy zestrzelili na pewno trzy " Focke Wulfy," prawdopodobnie — jeden i uszkodzili pięć dalszych. Trzy polskie samoloty nie powróciły.

25 c z e r w c a : Drugi z kolei, olbrzymi nalot lotnictwa Sprzymierzonych na Wupperthal w nocy z 24 na 25 czerwca z udziałem polskich dywizjonów bombowych. Dwie polskie załogi nie powróciły.

—Król Jerzy VI powrócił do Wielkiej Brytanii.

26 c z e r w c a : Prasa brytyjska donosi o dużej koncentracji wojska polskiego w Syrii.

—Ciężki nalot R.A.F.'u na Bochum i Gelsenkirchen. Radio niemieckie rozpoczęło serię audycji i reportaży z Zagłębia Ruhry opisując ogrom zniszczeń i nazywając Anglików barbarzyńcami.

27 c z e r w c a : Radio niemieckie doniosło, że armia sowiecką rozpoczęła atak na trzech odcinkach frontu.

Nowości lotnicze

MOŻLIWOŚCI NIEMIECKIEJ SIŁY POWIETRZNEJ

Doszły nas wiadomości o próbie odtworzenia siły przebojowej Luftwaffe. Otóż w tej chwili Niemcy, dla zagwarantowania sobie trwałości wysiłku wojennego Luftwaffe, odrzucają 50% produkcji na skład. Laikom może się wydawać, że w pewnej chwili Niemcy wystąpią do walki z olbrzymią siłą liczebną samolotów. Tak jednak nie jest. Niemcy pragną tylko, by w chwili, kiedy będzie trzeba definitywnie zaangażować Luftwaffe w pewnym oznaczonym miejscu czas zaangażowania był odpowiednio długi, i żeby właśnie ich samolot, parafrazując słowa Goeringa, był tym ostatnim, który zejdzie z pola walki zwycięsko.

Nie możemy sobie jednak wyobrazić, by to było naprawdę możliwe. Mimo zmniejszenia liczebności jednostek pierwszej linii, mimo podniesienia produkcji miesięcznej przez przejście na produkcję myśliwców z produkcji bombowców, mimo owych tak drastycznych pociągnięć w odtwarzaniu rezerw — Niemcy nie będą w stanie dotrzymać kroku narastającej sile lotniczej Sprzymierzonych, chyba kosztem poświęcenia szerokich odcinków frontów na korzyść jednego małego odcinka. Forteca europejska, która obejmuje obszar mniejszy od znajdującego się obecnie pod okupacją wojsk niemieckich, jest jednak zbyt olbrzymia, by przy jednoczesnym uderzeniu w kilku punktach, dało się uniknąć rozdrobnienia sił Luftwaffe rozrzedzając je w sposób zastraszający. Rozpoczynając bitwę trzeba mieć 300 procent odwodów o r a z przewagę liczebną, względnie bez przewagi liczebnej nie mniejszą rezerwę, oraz — co jest warunkiem koniecznym — samoloty górujące nad przeciwnikiem swym uzbrojeniem. Żaden ze znanych nam typów niemieckich nie góruje jednak uzbrojeniem nad typami Sprzymierzonych. Przeciwnie. Możemy śmiało wyrazić opinię, że w tej chwili sytuacja Luftwaffe nie wydaje się najlepsza.

Choćby się nie wiem jak ściągnęło front i ograniczyło do jeszcze ciaśniejszej " fortecy " Niemcy będą mieć do czynienia z trzema potężnymi zgrupowaniami lotniczymi: brytyjskim na północy, brytyjsko-amerykańskim na południu oraz rosyjskim. Nie uprzedzając wypadków ani nie zdradzając cyfr możemy przyjąć, że gdyby kryzys działań przypadł na pierwsze miesiące 1944 roku, to w powietrzu ustaliłby się prawdopodobnie stosunek 1:4 na niekorzyść Niemiec. Bowiem nawet przeniesienie przemysłu lotniczego z Niemiec na wschód do Polski, czy Węgier —nie ochroni od dotkliwych strat w tym przemyśle. Luftwaffe może liczyć się jedynie ze spadkiem produkcji, nigdy z podniesieniem jej do potrzebnego maximum 6000 samolotów miesięcznie. Ta konieczna do osiągnięcia cyfra jest dla Niemców nieosiągalna. Poza tym muszą liczyć się jeszcze z jednym: odpadnięciem lotnictwa włoskiego, co właściwie jest już faktem dokonanym. Tymczasem łączna produkcja Sprzymierzonych dawno przeskoczyła cyfrę wymienioną i nie jest jeszcze u szczytu swego rozwoju. Szczyt powinien być osiągnięty dopiero w późnych miesiącach 1944.

ZIEMIE POLSKIE — CENTRUM PRODUKCJI LOTNICZEJ

Tutaj dodamy dla zaspokojenia głodu wiadomości z Polski, że Polska w tej chwili przemienia się w wielkie centrum lotnicze. Dotychczas fabryki polskie produkowały części samolotów, które montowano w Niemczech, obecnie produkuje już całe samoloty, a w zachodniej Polsce są pełne montownie gotowego sprzętu. Zdaje się, że tylko przyrządy pokładowe i uzbrojenie dostarczane są z poza granic. Jest to bardzo pocieszające ze względu na przyszłość naszego kraju. Tego właśnie było nam potrzeba. Biorąc zaś pod uwagę, że ciężki przemysł z Ruhry przenosi się na Śląsk, będziemy mogli myśleć o rozwinięciu w przyszłości naszego kraju, jako ośrodka produkującego samoloty nie tylko na użytek własny, lecz także i na eksport.

PERSPEKTYWY WOJNY LOTNICZEJ NA POŁUDNIU

Lecz to przyszłość, wracajmy chwilowo do teraźniejszości tym bardziej, że wojna nie jest jeszcze wygrana o czym bardzo wielu zapomina. Można snuć piękne marzenia o wygranej, jednak należy zawsze pamiętać, że sięgnięcie po tę lepszą i spokojną przyszłość—będzie kosztowało jeszcze wiele wysiłków i wiele krwi, niezwykłego trudu i niezwykłej umiejętności dyplomatycznej. Poza tym każda wojna kryje w sobie niespodzianki. I tak n.p. nie jest wykluczona próba inwazji Wysp Brytyjskich, mimo osłabienia Luftwaffe i mimo jej defensywnego charakteru.

Tymczasem sytuacja przedstawia się jak następuje: Brytyjczycy triumfują, raczej triumfuje R.A.F. lansujący od samego początku wojny zasadę bombardowania strategicznego. Rzeczywiście zasada ta zaczyna wydawać teraz właśnie bardzo poważne owoce, tym bardziej, że operacje dzięki właściwościom sprzętu amerykańskiego mogą być prowadzone zarówno w dzień jak i w nocy. Ruhra jest naprawdę w tej chwili powalona i produkcja wstrzymana na wielu odcinkach.

Na południu po klasycznym załatwieniu się z Pantellarią, która będzie kiedyś doskonałym przykładem " z działań wojennych " dla uczniów wyższej szkoły lotniczej, lotnictwo przygotowuje się do nierównie cięższego zadania: ataku na Sycylię. Może Sycylię i Sardynię razem. Tutaj już nie będzie można stosować zwykłych chwytów taktycznych jak na poligonie pantellaryjskim. Przede wszystkim cel jest bardzo duży. Nawet ubezwładnienie wszystkich lotnisk samej tylko Sycylii, jest zadaniem na tak olbrzymią skalę, że trzeba się liczyć z rozłożeniem jej w czasie na długie tygodnie. Położenie Sycylii jest dogodne do obrony; nawet najbardziej intensywne bombardowanie nie jest w stanie zapewnić całkowitego odcięcia tej wyspy od jej baz uzupełniających na stałym lądzie. Także marynarka ma ograniczone możliwości, będzie mogła działać jedynie z dwu, w najlepszym razie — trzech stron wyspy. Do Sycylli nie wejdzie. Nie wszystkie noce są księżycowe. Dowóz na Sycylię będzie trwał, a liczne i bliskie lotniska włoskie na kontynencie italskim mogą zapewnić wyspie pewną pomoc w powietrzu. Lądowanie będzie tedy zadaniem niełatwym do przeprowadzenia.

Pozostaje oczekiwanie na przebieg wypadków, których w tej chwili, przewidzieć nie można. Można tylko przypuścić, że przy takiej przewadze w powietrzu i na morzu, Sycylia padnie, gdy Sprzymierzeni tego będą chcieli. Naturalnie: łatwo jest szafować krwią ludzką, lecz taktyka sprzymierzonych biegnie po linii oszczędzania tej krwi. Dlatego właśnie " zmiękczanie celu " potrwa długo.

DZIAŁANIA LOTNICTWA ROSYJSKIEGO

Trzecim frontem aktualnym jest front rosyjski. Obserwujemy wzmożoną działalność rosyjskiego lotnictwa na lotniska niemieckie. Rosjanie są w dosyć ciężkim położeniu w obiorze celów dla lotnictwa bombowego, podobnie zresztą jak Niemcy. Wysiłki lotnicze muszą być związane zawsze z istnieniem bardzo określonego i bardzo wrażliwego celu. Na przestrzeniach rosyjskich ani z jednej, ani z drugiej strony takich celów nie ma. Wobec tego lotnictwo używane jest raczej do wspierania wysiłków armii lądowych, niż do bombardowania strategicznego. Jest to ziemia obiecana dla lotnictwa taktycznego.

Nawoływania prasy brytyjskiej skierowane do Rosjan, by bombardowali ośrodki przemysłowe na Śląsku czy w Polsce nie wydają się słuszne jeszcze w tej chwili. Te cele są równie odległe dla Rosjan, jak dla Brytyjczyków. Wypady na nie może są efektowne, lecz nie będą rzeczywiście skuteczne. Na efekty naprawdę szkoda czasu i szkoda załóg. Bombardowanie Warszawy przez Rosjan jest typowym przykładem efektownego działania. Jednak szkód wielkich Niemcom nie zrobiło. Jeżeli już konieczne są takie wyprawy jak na Warszawę, to znacznie bardziej opłacałby się Dęblin. Jest to poważny niemiecki ośrodek szkolny . . . Stanowczo lepiej zawalić parę hangarów i podziurawić pole wzlotów, niż zwalać domy na Pradze, którym i tak dużo do zawalenia nie brakuje.

M. J. GORDON

Każdy żołnierz Polskich Sił Zbrojnych w Wielkiej Brytanii jedną książkę—dla żołnierzy Armii Polskiej na Wschodzie

SPROSTOWANIE

W artykule Porucznika Herberta: " Dywizjon Mazowiecki," druk. w numerze 25 " Polski Walczącej " /z dnia 26 czerwca/ wkradła się pomyłka w nazwie Dywizjonu Ziemi Mazowieckiej, mianowicie dywizjon nie jest Dywizjonem imienia Marszałka Piłsudskiego, natomiast imię to nosi inny polski dywizjon bombowy.

W maju b.r. ukazał się Nr. 33-ci " PORADNIKA DLA PRACOWNIKÓW ŚWIETLIC ŻOŁNIERSKICH," wydawnictwa Polskiej YMCA w W. Brytanii. 39A, Maddox Street, London, W.1.

Telefon MAYfair 7540.

Numer powyższy, poświęcony Tatrom zawiera utwory: Tetmajera, Grabowskiego, Asnyka, Kasprowicza, Malczewskiego, Witkiewicza, Goszczyńskiego, Zegadłowicza, Drzewicy, Gałuszki, Stromengera, Romert, Chybińskiego, Nowickiego, Barabasza, Firsoffa, Paczkowskiego, Kordysa, Radzikowskiego i innych.

Ponadto w roku bieżącym ukazały się Nr. 29, 30/31 i 32 " Poradnika, poświęcone następującym zagadnieniom:

Nr. 29 — Polacy w cywilizacji świata

Nr. 30/31 — Warszawa

Nr. 32 — Działalność polskiej YMCA w kraju i na wychodźstwie.

ŚWIĘTO DYWIZJONU KRAKOWSKIEGO

Dnia 24 czerwca 1943 w miejscu postoju Krakowski Dywizjon Myśliwski obchodził swoje Święto w ściśle wewnętrznych ramach. W Wigilię Święta odbył się Apel Poległych, a w dniu Święta, Msza Święta za Poległych i na intencję Dyonu.

Zamiast obiadu żołnierskiego i przyjęcia żołnierze Dyonu zebrali na Polski Czerwony Krzyż kwotę £70.0.0.

Abonujcie

T y g o d n i k S t r e s z c z e ń

" CO SŁYCHAĆ "

zawierający skondensowane artykuły prasy amerykańskiej, brytyjskiej i francuskiej oraz najciekawsze rozdziały najnowszych amerykańskich i angielskich książek.

Żądajcie " Co Słychać " we wszystkich kioskach i księgarniach.

1. Dywizja Grenadierów: ludzie i zdarzenia

CHORĄGIEW PUŁKOWA

Za chwilę ma się odbyć uroczyste wręczenie sztandaru 2-mu pułkowi grenadierów.

Niedaleko Luneville przed piękną rezydencją bohatera kolonialnego marszałka Lyautey wyciągnęła się pod sznur 5 kompania, orkiestra gra hymn narodowy, z dowództwa Baonu wynoszą chorągiew pułkową. Utkana rękami kobiet francuskich i polskich w Arras, powiewa teraz w blaskach zachodzącego słońca na czole kompanii chorągwianej, odbija się w lustrze kanału Lagarde podczas marszu na plac zbiórki.

Osobliwa chwila i jakże osobliwe tło. Front, naloty nieprzyjacielskie, baterie przeciwlotnicze grają, a tu w środku czworoboku oddziałów na polanie pod lasem odbywa się dotąd niewidziane, może jedyne w dziejach naszego wojska misterium: wręczenie sztandaru wśród ciemnej nocy. Do dzisiaj jeszcze brzmią w uszach słowa gen. Ducha: “Grenadierzy, oto wasz sztandar, oto wasz znak pułkowy. Wierzę głęboko, że go opromienicie chwałą.”

Panie Generale! Grenadierzy 2 pułku dotrzymali żołnierskiej przysięgi, złożonej tam na polanie w Crévic. Na Twoich oczach wieńczyli swój sztandar wawrzynami i francuskim “*Croix de guerre*” na polach Insming, Dieuze, Lagarde, Vaucourt, Baccarat, Raon l'Etap . . .

KIEROWCA SZENILETKI

Kompania dowodzenia 2 pułku była rozlokowana tuż koło Vicherey i w galopującym tempie kończyła doskonalenie kierowców.

Królował między innymi kapral D. Można go było codziennie widzieć na drodze, jak ujeżdżał swojego gąsienicowego rumaka. Wiecznie zasmarowany i zaharowany, leżąc, dłubał coś w przeróżnych śrubkach, to znów wykonywał jakieś niesamowite harce, skręty i uskoki na swoim wozie, że pierze się sypało z pięknej asfaltowej szosy. Miało się wrażenie, iż zamęczy biednego zwierzaka tym oryginalnym treningiem. Kierowca nie robił tego jednak bezcelowo, owszem miał swój “gryplan”:

—“Widzisz kolega, ja rżnę do pierwszej linii z amunicją, npl mnie obserwuję, wali do mnie z artylerii, ja nagle skręt raz w tę, raz “wewtę” stronę i nie trafi cholera.”

Niedawno kapral D. tak dotkliwie nadwyrężał lotaryńskie szosy. Wykorzystywał swe cudowne uniki pod Nelling, podskakiwał na gąsienicach po wykrotach i bruzdach pod Dieuze, skąd z trudem wielkim udało mu się wyprysnąć na drugą stronę kanału Lagarde, tuż przed wysadzeniem mostów. Jakże nieustraszony był potem pod Vaucourt! Roboty miał pełno, napraszał się o nią.

—“Panie Majorze, może do 11 kompanii z amunicją podskoczyć?” — Zapuścił maszynę i pojechał.

Słońce tak wtedy paliło, dusił się po prostu w swoim schowku. Miał za sobą ze trzy nieprzespane noce, spracowany był nad miarę, chyba go więc ręce zmęczone zawiodły, że się nie zdołał uchylić od ciosu . . . Trafiony pociskiem haubicy, poległ śmiercią walecznych w strzaskanej szeniletce.

Mogiła jego na polu chwały pod Vaucourt zieloną murawą się zdobi i czeka na najpiękniejszy kwiat żołnierski: Virtuti Militari.

DZIAŁONOWY MOŹDZIERZA

Wzgórze 275 pod Insming ma powodzenie. Zainstalował się na nim dowódca baonu ze swoim p.o. i ekipa obserwatorów artyleryjskich. Jakby trochę za tłoczno. Nieco w lewo, na skraju winnicy skromnie przycupnął ze “Stockesèm” kapral O.

Dziwny to był człowiek, ten kapral. Przyszedł do 2 pułku gren. z francuskiej Legii Cudzoziemskiej, nie mówił o swej przeszłości, choć był gadatliwy i kochał wino w takim stopniu, że jeszcze niedawno temu w Crévic demolował kafejki. Na “Stockesie” się jednak znał i lubił go, a jego biedka z koniem, uprzężą i sprzętem mogła w każdej chwili stawać do przeglądu.

Dzisiaj tenże pan kapral przepisowo osadził swój “Stockes” na przeciwstoku, a sam, uzbrojony w starą lornetkę, wysunął się kilkadziesiąt kroków naprzód na szczyt wzgórza w poszukiwaniu celu. Wreszcie . . .

Od strony Leviller widać samochody niemieckie, jak podwożą i wyrzucają swoją piechotę od razu do natarcia. Słychać komendę ogniową działonowego, jak na placu ćwiczeń, donośną i spokojną. Pierwszym pociskiem wstrzelał się i jest w celu, następnym trzasnął wprost w samochód, naładowany Niemcami.

Pan kapral szaleje z radości i można powiedzieć, że oczy całego wzgórza 275 są teraz zwrócone na niego, a nie na przedpole. Jest południe, słońce pali, działonowy ściągnął kurtkę i zakasał rękawy koszuli. Na wzgórze skierowany jest teraz ogień artylerii, a on głosem ochrypłym stara się przekrzyczeć wybuchy granatów i widzi przed sobą tylko piechotę i broń maszynową nieprzyjaciela i jak z pod ziemi wyrosłe czołgi.

Obsłudze swojej, która nie widzi przedpola, podaje krótko nowe położenie: — “Chłopaki, tanki na nas walą.” Poprawia elementy ogniowe i swoim moździerzem pisze nowy rozdział instrukcji o obronie ppanc.: unieruchamia najpierw jedną maszynę, potem drugą. Z resztą rozprawiają się działka ppanc. i artyleria.

Panie kapralu O., widziano was i pod Dieuze, jak z takim samym spokojem i zaciętością ostrzeliwaliście grzbiet Dieuze — Bse Lindre. Dowódca 1 Dywizji grenadierów z upoważnienia Naczelnego Wodza odznaczył Was za to Krzyżem Walecznych.

GRENADIER P.

Był gońcem w poczcie dowódcy jednego z oddziałów 2 pułku grenadierów — małomówny i zwykle jakiś zadumany w sobie. Ile razy trzeba było kogoś-gdzieś posłać, zawsze był pod ręką, wracał i nieśmiało oddawał potwierdzenia odbioru. Nie skarżył się nigdy, że miał ciężką drogę, że do niego strzelali . . .

W czasie tragicznego odwrotu z pod Dieuze oddział jego został napadnięty przez broń pancerną niedaleko Lagarde i po krwawej walce odcięty od swego dowódcy. Kapitan znalazł się w beznadziejnej sytuacji i zdawało mu się, że jest sam. Aż tu nagle z poza siebie, z kartofliska słyszy przyduszony, prawie szeptany głos:

—“Panie kapitanie, którędy się będziemy przebijać?”

Pełzali razem z kapitanem przez wzgórze 282, nurzali się w głębokim strumieniu, byle się tylko wydostać z pierścienia Niemców. Deszcz zaczął lać jak z cebra, schronili się w jakimś maleńkim “*bouquet*,” by odetchnąć trochę. Kapitan jest zdenerwowany, ma papierosy, lecz zapalniczka nie działa. Podarł już wszystkie papiery i dokumenty. Wszystko w porządku. Teraz szuka jeszcze czegoś niespokojnie.

—Gdzie jest mój rewolwer?

—Wrzuciłem go do wody, bo się bałem, że się Pan Kapitan zastrzeli . . .

—O! chłopcze kochany!

Przykucnęli na kolanach w tych krzakach na mokruteńkiej ziemi i trzęśli się tak z zimna przez całą noc. Od samego świtania rozpoczęli dalszą wędrówkę, przepełzali znowu jedno wzgórze, potem drugie, podarli ubrania na sobie, łokcie i kolana poranili, twarze całe mieli we krwi, ale pełzali dalej, obchodząc Lagarde w kierunku do Xures. Wreszcie w samo południe, opadając już całkiem z sił, pod ogniem Francuzów i Niemców, przedostali się na drugą stronę kanału po przęsłach zburzonego mostu.

Grenadier P., goniec z pocztu dowódcy, nie załamał się ani na chwilę w tej ciężkiej próbie i ani mu przez myśl nie przeszło poddać się. Krzyżem Walecznych nagrodził mu Dowódca 1 Dywizji tę żołnierską cnotę.

CELOWNICZY C.K.M.

7 kompania 2 pułku grenadierów okopana na skraju, ma na swoim przedpolu rzekę Seille, a na niej pośpiesznie i niedokładnie wysadzony most. W rejon tego mostu Niemcy podwożą na opancerzonych samochodach swoich saperów, którzy chcą przerzucić przywiezione płyty żelazne przez most, aby umożliwić przejście broni pancernej.

Dla osłony tego działania, na przedni skraj 7 kompanii sypie się nawała ogniowa: zgrupowania ckm, artyleria i bodajże najdotkliwsze z niej moździerze. Kompania jest przygwożdżona do swoich dołków strzelniczych i jej ogień słabnie . . . Tylko jeden, jedyny ckm z poza lekkiej fałdy terenowej nieustannie i zajadle strzela na ten most i dusi każdy ruch. Na ten ckm idzie teraz jedna nawała za drugą, dymem granatów i pocisków moździerzy oślepia go zupełnie, ale ckm strzela ciągle, kontrolując swój ogień już tylko poziomnicą i kołkiem, jak w nocy.

Dopiero za jakieś dwie godziny ckm przestał strzelać i umilkł na zawsze. Pocisk haubicy wydarł go ze stanowiska wraz z celowniczym . . .

Jego miejsce, w dymiącym się jeszcze leju zajął drugi ckm z tej samej drużyny. Ogień artylerii zamierał zwolna, nieprzyjaciel przez most nie przeszedł.

Z INSMING DO ANGLII

Dostałem dziś kartkę pocztową, pisaną gdzieś w Szkocji “. . . melduję posłusznie, przybyłem do W. Brytanii . . .” Podpisał się na niej Paweł P. z 11/2 p. gren.

Pamiętam go dobrze z 7 komp. Był ranny w rękę pod Insming i dostał się z całym szpitalem do niewoli niemieckiej. Kiedy go podleczyli trochę, jakimiś dziwnymi drogami dowiedział się, że żołnierze 1 Dywizji grenadierów ciągną na południe. Zdecydował się więc i on uciekać.

Ani po francusku ani po niemiecku nie umiał, więc sobie wypisał 100 słówek francuskich na kartce i zręcznie się nimi posługując, już w drugiej połowie lipca zgłosił się u mnie w opuszczonym przez Niemców Lyonie. Kręcił się potem niespokojnie, tak zresztą jak wielu innych po X., szukając dróg wyjścia do Anglii. Strasznie ciężko, ale spróbuje.

Uzbroił się znowu w swojego pomysłu słownik i poszedł na zieloną granicę, ale go złapali i odrzucili z powrotem. Wczorajsi sprzymierzeńcy poprosili go, aby posiedział w odrutowanym obozie, przeznaczonym dla republikanów hiszpańskich, ale on im pięknie podziękował i zwiał. Znowu się zameldował u swego dowódcy z nowym planem działania, tym razem udałym.

Pireneje przeszedł w pojedynkę, dopchał się do Y., a stąd koleją i przepisowo na gapę do Z. i już w kilka dni potem z miną tubylca raczył bananami swego dowódcę, który tu przywędrował innymi szlakami. I zaraz się znowu rozeszli . . .

Aż oto dzisiaj ta kartka . . . Przypomniała mi ścieżki w Wogezach, rojące się od żołnierzy 1 Dywizji, ciągnących na południe i noclegi pod gołym niebem na zimnie i deszczu. Ożyła na nowo wędrówka o głodzie i chłodzie. I te szosy asfaltowe, czarne, pełne zasadzek i niebezpieczeństw, całymi dniami nieraz trzeba było wyczekiwać, żeby taką przeklętą szosę przeskoczyć. Na zawsze w pamięci zostanie to oszalałe borykanie się po Francji i niekończące się pytania: którędy? I wyskoki na granicę, by wpaść i dostać się w ręce policji lub do obozu internowanych. To była nasza droga do Anglii, droga żołnierzy 1 Dywizji Grenadierów.

WACŁAW FRELEK

Na południe od Dieuze

16 czerwca. Rano wydaje się śniadanie, a równocześnie pododdziały 11/2 p. gren. przystępują do organizowania odcinka obrony. Przedni skraj przebiega lewym swym skrzydłem przez południowy wylot m. Dieuze i ma na przedpolu to duże miasto, dalej przez stary fort wzdłuż toru kolejowego i lasu, przecinając szosę Dieuze-Gelicourt. Tutaj na przedpolu jest rzeka Seille z doliną częściowo zalaną, zamkniętą grzbietem Dieuze-Bse Lindre.

Żołnierze są u kresu sił. Jeszcze na pozycji ryglowej pod Hazembrouck z powodu silnego ognia artylerii npla w dzień, przez dwie kolejne noce wykańczali pozycję obronną, w trzecią noc odbywało się przegrupowanie i potem całodzienna walka i następnie czwarta z rzędu nieprzespana noc: odskok Insming — Dieuze.

Patrole nieprzyjacielskie i silniejsze oddziały motocyklistów już około godz. 13 nawiązują styczność z czatami, które pod ich naporem odchodzą. Po opanowaniu grzbietu Dieuze — Bse Lindre nieprzyjaciel otwiera silny ogień ckm, tak że trzeba przerwać nieukończone jeszcze prace obronne. Wycofująca się prawa czata melduje obecność czołgów nieprzyjacielskich na przedpolu.

Około godz. 15 prawoskrzydłowa kompania jest w ogniu artylerii nieprzyjacielskiej, silnie są również ostrzeliwane tyły lewej kompanii. O godz. 16 fort i cały skraj lasu znajdują się nadal pod mocnym ogniem artyleryjskim i zgrupowań ckm. Szczególnie dotkliwe straty w ludziach wyrządzają średnie i ciężkie moździerze, a ich skutki najboleśniej odczuwa prawa kompania.

Nieprzyjaciel zajmuje podstawę wyjściową do natarcia na opanowanym przez siebie wzgórzu Dieuze — Bse Lindre. Na to wzgórze skierowany jest teraz ogień całej naszej artylerii, tąm też ześrodkowuje się ogień naszych ckm. W części wzgórza bliżej Bse Lindre pojawia się kilkanaście czołgów, które kierują się na niezupełnie zniszczony most drogowy na rzece Seille. Za nimi drobnymi grupkami odrywa się od grzbietu piechota niemiecka.

Na przedni skraj tymczasem wali się lawina pocisków: haubice, moździerze i zgrupowanie ckm. Po lesie roznosi się przeraźliwe echo wybuchów i potęguje grozę walki. Mimo wielkich strat, obrona trwa: w jednym z plutonów pozostaje tylko 10 ludzi. Wszystkie bez wyjątku karabiny grają, wrzawa walki potężnieje. Artyleria i moździerze wroga pokrywają każdy metr obrony ogniem niszczącym. To ostrzeliwanie i bomby lotnicze zmuszają naszą artylerię do milczenia. Obrona, pozostawiona sama sobie, przywarła w swoich dołkach i prowadzi dalej ogień. Czołgi niemieckie pod ogniem dział ppanc. spływają do Dieuze, a odsłonięta w ten sposób piechota niemiecka załamuje się i zapada w teren. Następny jej zryw zostaje również przygwożdżony przez obronę. Walka cichnie na chwilę.

Po godz. 18 zaczyna się znowu ogień i trwa aż do zmroku. Nieprzyjaciel powtarza systematyczny ogień niszczący, na przedni skraj i na tyły ugrupowania baonu; jego piechota pojawia się również w południowej części m. Dieuze. Spodziewane powtórne natarcie nie wyrusza jednak, natomiast w rejonie mostu na rzece Seille pojawiają się opancerzone samochody z saperami, którzy usiłują przerzucić przez most przywiezione z sobą płyty stalowe, aby umożliwić przejście swojej broni pancernej.

Napór ogniowy i straty obrony są tak wielkie, że jej ogień coraz bardziej słabnie. Dojścia do mostu broni teraz prawie tylko jeden ckm, dobrze ukryty za fałdą terenową. Niedługo potem jednak trafiony granatem wylatuje w powietrze. W leju, pozostałym po nim, usadawia się drugi z tej samej drużyny i prowadzi dalej ogień. Niemcom nie udaje się sforsować mostu.

Zapada zmrok. Artyleria niemiecka strzela bez przerwy, lecz natarcie się załamało. Żołnierze 1 Dywizji Grenadierów nie cofnęli się bez rozkazu, choć tak hojnie zrosili swą krwią ten skrawek Francji. Tutaj pod Dieuze 65 zabitych i ponad 200 rannych z 11/2 p. gren. dowiodło, że piechur polski nie tylko brawurowo szturmuje, ale i w obronie potrafi trwać twardo i z uporem.

JAN ROJSKI

CZERWIEC 1940

Kiedy wracam wspomnieniem do naszej kampanii,
co jest po pierwszej klęsce naznaczona drugą,
widzę puste, żałobne wzniesienie Bretanii,
na którym wiatr i chmury jesienną szarugą
otuliły tę drogę, cierniową i długą,
jak czas, znaczony głosem bolesnej litanii,
która tam się legendą legionów powtórzy
i serca nam przepaja, gdy powrót nam wróży . . .

O wiosno, kto cię widział w lotaryńskiej ziemi,
długo pamiętać będzie jasny lot modlitwy,
jaka piersi szarpała skrzydłami wielkiemi,
kiedy uszu dobiegło pierwsze echo bitwy.
Śniło nam się zwycięstwo Korony i Litwy,
nikt nie myślał o zgubie. Zacięci i niemi
byliśmy niby bastion wolności i wiary
wśród fortec frontu Francji, na odcinku Saary.

Aż się ziemia zatrzęsła grzmotem ofensywy
a wiatr przyniósł z przestrzeni pól zapach ojczysty
i żołnierz drgnął, od wszystkich bardziej niecierpliwy,
wsłuchany w łoskot burzy i w śmiertelne świsty,
szedł przemocy naprzeciw, ofiarny i czysty
i bronił tamtej ziemi, jak rodzimej niwy —
bo była w nim ojczyzny uroda i wizja
na drodze, którą Pierwsza w bój poszła Dywizja.

Ale bomby po Francji nawałnicą młotów
biją jak wicher klęski w tę wiosnę rozpaczy
i nie ten czas powrotu, bo jeszcze nie gotów,
i żołnierz zamiast wiosny znów wrzesień zobaczy.
Los się zły nie odmienił. Nie będzie inaczej
pod niebem, które warczy od wrogich przelotów,
na ziemi, co tak była w nadzieje obfita,
na której wszystko zgasło i nic już nie świta.

Noc jest straszna nad nami. Jesteśmy ostatni.
Pamiętasz tę godzinę, w której gwiazda spadła,
a jeszcze huczał w uszach głuchy głos armatni
gdy nad nieszczęściem naszym radziły widziadła
przy świetle świec, jak w czarnej przepaści zwierciadła,
które teraz odbiło całą głębię matni,
w jaką zagnał to wojsko bój z góry stracony —
Broń składają Francuzi. Cóż z naszej obrony?

Ale z tamtego czerwca wróci gorzka chwała
wojsk naszych, które rozkaz wypełniły twardy
i raz jeszcze dowiodły, jak się bić umiała
ta młodzież, w śmierć idąca z uśmiechem pogardy,
choć najcięższa jest służba i straż arrière-garde'y
jak pod Lipskiem — skazanej, by do końca trwała,
nasz tragiczny przywilej zdobyty w obronie
Polski wiecznej tą klęską, od której świat płonie!

ALEKSANDER JANTA

1. DYWIZJA GRENADIERÓW W KAMPANII FRANCUSKIEJ

Dnia 21.VI.1940 r skończyła swój żywot, jako W. J. — 1. Dywizja Grenadierów. Dzień ten żołnierzom 1. D.G. przynosi szereg wspomnień i splot uczuć w treści swojej — jakże sprzecznych. Z jednej strony smutek, bo w dniu tym przestała istnieć jednostka, która rozpoczynając swe boje liczyła 17 tysięcy żołnierza, z drugiej strony — uczucie zadowolenia z dobrze spełnionego obowiązku i przekonanie, że 1. Dywizja Grenadierów dobrze zasłużyła się Sprawie Polskiej.

Dziś, w trzecią rocznicę — jako jeden z 17-tu tysięcy — chcę zrobić krótki rachunek sumienia, czy słusznie dowódcy i żołnierzowi 1. D.G. przysługuje prawo do szczycenia się, "że dla Sprawy Polskiej na ziemi, w owym czasie jeszcze wolnej Francji, dobrze się zasłużył, że odwieczny honor żołnierza-Polaka cenił wyżej ponad życie i, że honorowi temu w niczym nie uwłaczył, a przeciwnie — przyczynił się do jego zwiększenia."

Zanim dam odpowiedź, postaram się przedstawić krótki opis powstania i bojów 1. D.G., pracę żołnierza i dowódcy. Zestawione fakty i cyfry przemówią może same za siebie najlepiej.

W organizowaniu się 1. Dywizji Grenadierów da się odróżnić trzy charakterystyczne okresy.

Pierwszy okres to czas zawarty między datami: koniec września 1939 — 16.IV.1940 roku. W okresie tym 1. D.G. organizuje się w rejonie Coëtquidan. Stany jej i gotowość bojowa ulegają częstym zmianom. W początkowej fazie 1. D.G. wydziela zalążki dla sformowania 2. D.P., 10. Brygady Czołgów, a dnia 10.II.1940 r. odchodzi dotychczasowy dowódca dywizji — płk. dypl. Bohusz-Szyszko /obecnie generał/, zabierając ze sobą drugie kolejne bataliony pułków, uzupełnione do pełnych stanów bojowych, oraz niezbędny aparat dowodzenia, z zadaniem zorganizowania Brygady Podhalańskiej.


Pogrzeb por. Mariana Drożeńskiego, który padł koło m. Emberménil

Dywizja, która dochodziła już do gotowości bojowej, wskutek wyciągnięcia najlepszej kadry i żołnierzy do Brygady Podhalańskiej, znów staje się jednostką obezwładnioną na długie miesiące. Trzeba dużego wysiłku i zabiegów dla odtworzenia kadry, zdobycia rekruta i jego wyszkolenia, oraz nade wszystko — uzyskania sprzętu.

To nowe zadanie jest udziałem świeżo mianowanego dowódcy dywizji — płk. dypl. Ducha. Był on właściwym organizatorem, wychowawcą i dowódcą 1. Dywizji Grenadierów. Ile wysiłku trzeba było włożyć, by otrzymać tak wspaniały instrument walki, jakim okazała się 1. D.G., ten tylko zrozumie kto widział i poznał — zakwaterowanie, place ćwiczeń, dopływ ludzi i sprzętu.

Ogrom pracy w tak krótkim czasie, zdawało się, że jest ponad siły ludzkie — został dokonany entuzjazmem wysiłku. Dowódcy i żołnierze nie szczędzili trudu, gdyż wiedzieli, że przyśpieszają tak bardzo oczekiwany dzień walki.

Dnia 16.IV.1940 r. o godz. 11.24 na małej stacyjce w Guer pierwszy transport ze sztabem Dywizji jest gotów do odjazdu. Na parę minut przed odjazdem do pociągu przychodzi orkiestra z C. W. Piech. w Coëtquidan — a w chwilę potem przyjeżdżają gen. Faury, Korytowski i kilku starszych oficerów.

Na twarzach oficerów i żołnierzy widać duże wzruszenie, lecz zarazem zadowolenie i radość. Wszyscy opanowani byliśmy jedną myślą i uczuciem, że za kilkanaście godzin będziemy o paręset kilometrów bliżej Polski i że w niedalekiej przyszłości rozpoczniemy marsz i to pieszo przez Niemcy do Poznania i Warszawy . . . Każdy z nas roił i już widział za sobą szeroki szlak zgliszcz i ruin — taki sam jaki Niemcy znaczyli w swoich pochodach w Polsce. Punkt godz. 11,24 pociąg rusza. Orkiestra gra hymn "Jeszcze Polska nie zginęła . . ." Trzeba było widzieć wtedy twarze żołnierzy . . .

Drugi okres — to przejściowy postój dywizji w strefie przyfrontowej w czasie od 16.IV. do 8.VI.1940 r. W tym okresie dowódcy różnych stopni poświęcają główny wysiłek na ostateczne wychowanie i wyszkolenie żołnierza. Pomimo niekompletnego i przestarzałego sprzętu dywizja z dnia na dzień staje się jednostką coraz bardziej wartościową.

Tutaj z przyjemnością wspominam, ile francuscy oficerowie łącznikowi wykazali dobrych chęci i pełnego zrozumienia dla spraw wyszkoleniowych dywizji. Wszystkie nasze zmartwienia były ich zmartwieniami — gdzie tylko i jak mogli szli nam na rękę i pomagali. Byliśmy ich aliantami i braćmi broni.

W okresie tym oddziały dywizji miały szczęście gościć Pana Prezydenta Rzeczpospolitej, dwukrotnie Naczelnego Wodza, a 1. i 2. pułk grenadierów otrzymały sztandary, ofiarowane przez miasto Arras.

Dzień 3 maja 1940 roku stał się punktem kulminacyjnym "przedbojowego" życia dywizji. W dniu tym Prezydent R.P., Naczelny Wódz, ambasadorowie Francji, W. Brytanii i St. Zjednoczonych oraz 30 członków Parlamentu Angielskiego i dziennikarzy, spędziło święto narodowe wśród oddziałów 1. Dywizji Grenadierów.

Pamiętamy defiladę na szosie Nancy-Neufchateau, między wsiami Autreville-Marteigny. Z każdego pułku piechoty wzięli udział w defiladzie tylko dowódcy pułków ze sztabami i po 1 baonie — reszta oddziałów w pełnym składzie — mimo to defilada trwała godzinę i 45 minut. Defilujące bataliony, w szykach ósemkowych, z bagnetami na karabinach, pułki artylerii z "wypielęgnowanymi" działami, zmotoryzowane dywizjony O.R., kompania ppanc. i kompania samochodowa — swym "stylem" wywarły niebyle jakie wrażenie na zaproszonych gościach. Nawet zimni i opanowani Anglicy bez przerwy bili brawa . . .

Dla dowódcy dywizji i żołnierzy największą nagrodę stanowiło zadowolenie, jakie było widać na twarzy Naczelnego Wodza. Świadczyło ono, że pierwszy egzamin wypadł pomyślnie . . . Dowódca dywizji, meldując koniec defilady, odbierał nieskończone gratulacje. Doskonała postawa i wyszkolenie oddziałów, w stosunkowo tak krótkim czasie, były naprawdę godne podziwu.

Generał Sikorski, wpisując się do "Złotej Księgi Dywizji," zgodził się na propozycję dowódcy Dywizji, by nadać jednostce nazwę "1. Dywizji Grenadierów," a następnie udzielił pisemnej pochwały za doskonałą postawę, wyszkolenie, organizację i pielęgnację sprzętu, oraz wyraził przeświadczenie, że oddział, który potrafił w tak krótkim czasie dojść do takiej gotowości bojowej, spełni należycie swój obowiązek na polu bitwy.

Defilada spowodowała wyraźną zmianę nastawienia wśród oficerów francuskich. Dowódca 4. Armii — gen. arm. Requin w rozmowie z nami powiedział: — "Przecież to pierwszorzędna dywizja, już dzisiaj dorównuje najlepszej naszej dywizji." Nic więc dziwnego, że już 11.V.40 r., a w osiem dni po defiladzie, przesunięto 1. Dywizję na zaplecze linii Maginot.

Trzeci okres — i niestety już ostatni — zawarty jest w datach 8.VI. do 21.VI.40 r.

Tragiczne dnie z zawrotną szybkością posuwały się jeden po drugim. W końcu maja artyleria, saperzy i O.R. weszły na osławioną linię Maginot. Dnia 8.VI.40 znalazły się tam już wszystkie oddziały Dywizji.

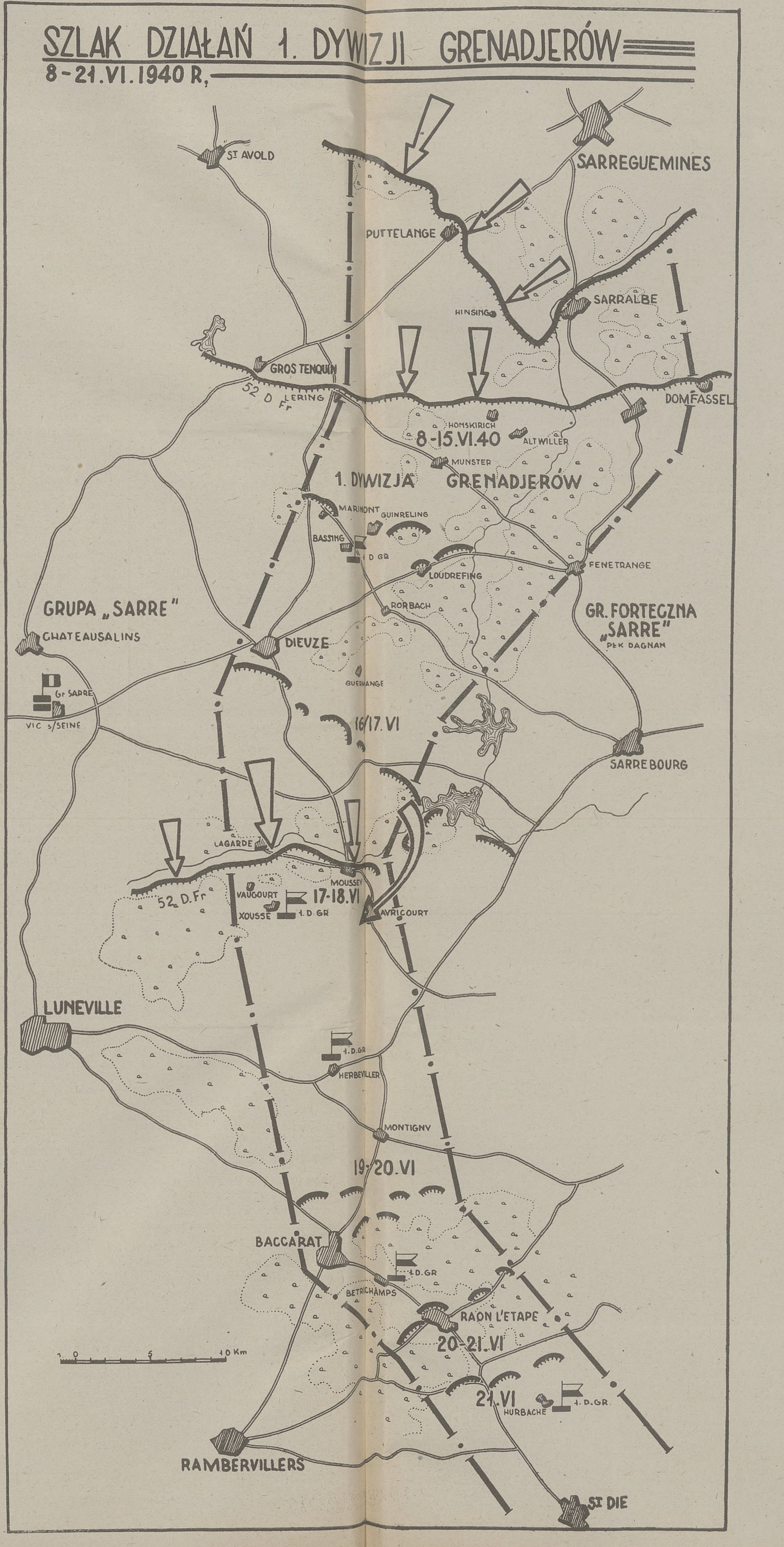
W myśl rozkazu dowódcy Grupy "Sarre," gen. korp. Hubert — 1. Dyw. Gren. miała obsadzić drugą linię Maginot, na odcinku 25 klm. Pierwsza linia obsadzona była przez oddziały forteczne. Według słów gen. Hubert — odcinek nasz był w pełni przygotowany do działań obronnych. Miał on mieć 40 schronów żelbetonowych, liczne zasieki drutów kolczastych i szyn przeciwczołgowych. W rzeczywistości nie było nic poza 6 schronami — niedokończonymi i nielicznymi umocnieniami polowymi. Oddziały piechoty, które w dwudniowym marszu pieszym, wykonały ponad 55 klm., po parogodzinnym wypoczynku, musiały przystąpić do kopania stanowisk w bezpośrednim zasięgu artylerii niemieckiej — pod stałą obserwacją naziemną i lotniczą.

Dowódca Dywizji stoczył niejedną walkę z dowódcą Grupy "Sarre," który nie tylko nie chciał oddać pod rozkazy poprzednio wyciągniętych oddziałów, jak dwa pułki artylerii, baon saperów, kompania i bateria ppanc., ale żądał nowych. Wkońcu jednak udało się do dnia 14.VI. ściągnąć wszystkie oddziały pod bezpośrednie rozkazy dowódcy Dywizji.

Na dzień 13.VI. został zapowiedziany przyjazd Naczelnego Wodza na front. W ciągu 12.VI.40 zostało wszystko przygotowane na jego przyjęcie, lecz jakież było nasze zdziwienie, kiedy w godzinach południowych 13.VI. gen. Duch wrócił z odprawy u d-cy Grupy "Sarre" i oznajmił, że N.W. nie przyjedzie, a zarazem podał do wiadomości ścisłego sztabu, że w myśl rozkazu, wydanego przez gen. Weygand — linia Maginot, wskutek strategicznego obejścia przez Niemców od południowego zachodu, ma być w ciągu nocy z 14 na 15 opuszczona bez walki. 1. Dyw. Gren. miała osłonić wycofanie się oddziałów francuskich z pierwszej linii Maginot i bronić się w ciągu dnia 15.VI. na dotychczas zajmowanych stanowiskach, a następnie przejść do walk opóźniających w ogólnym kierunku południowo-wschodnim za Dieuze-Baccarat-St. Dié.

Bezpośrednie starcie oddziałów piechoty z Niemcami nastąpiła dnia 14.VI. w południe — z korzyścią dla nas. Niemcy, którzy wdarli się w pierwszą linię Maginot, zostali wyrzuceni przez wysunięte oddziały 1. Dyw. Gren., pozostawiając na polu bitwy około 100 zabitych i dużą ilość broni maszynowej. W czasie jednego tylko przeciwuderzenia na las i fort Hissing dwóch plutonów O.R., pod dowództwem por. Nowickiego — zabito ponad 20 Niemców i zdobyto 13 k.m. Dokumenty, zdobyte przy zabitych i trąbka z napisem "62. p.p. Dzieci Bydgoskich," karabiny polskie i mundury świadczyły, że ta dywizja organizowana była na Pomorzu. Jak później potwierdziło się — była to 60. dyw. piech. Gdańska. Por. Nowicki został przedstawiony do odznaczenia "Legią Honorową" przez płk. Dagnan, dowódcę "G.F.Sarre."

Właściwa bitwa rozpoczęła się 15.VI. Niemcy po opanowaniu pierwszej linii Maginot uderzyli na 1. i 2. pułk Gren., lecz zostali z wielkimi stratami odparci. Na odcinek dywizji nacierały trzy dywizje niemieckie, przyczem jedna na środek odcinka, a po jednej na każde ze skrzydeł. Ten stosunek sił utrzymał się do końca.



Dzień 16.VI., w którym forma walki była narzucona przez dowódcę Grupy "Sarre," przynosi ciężkie straty. I/1. p. Gr. prawie całkowicie rozbity. II/1. p. Gr. i III/2. p. Gr. poniosły straty około 20%.

Walki, prowadzone w dniu 17.VI., odbyły się w dwóch fazach. Pierwsza faza to walki oddziałów na przedpolu w sile trzech baonów i 1 dyonu artylerii — do godz. 16, druga faza — to walki o pozycję główną na kanale Marne-Rhin. Był to dzień najkrwawszych walk 1. Dywizji. W walce na przedpolu pod Dieuze został całkowicie rozbity II/2. p. Gr. Nieprzyjaciel po zlikwidowaniu oporu pod Dieuze główny wysiłek natarcia skierował na 2. p. Gr., wprowadzając na ten odcinek /szerokości ok. 6 klm./ dwie dywizje piechoty. Natarcie to odznaczało się niezwykłym impetem. Widać było, że Niemcom chodziło o pośpiech i że nie zważali na straty własne.

W czasie czterogodzinnego zmagania się — opór I/2. p. Gr. zostaje złamany. W powstałą lukę wchodzą coraz to nowe oddziały niemieckie. Sytuacja staje się tym groźniejsza, że dowódca 2. p. Gr., płk. Ziętkiewicz, nie dysponował odwodem. Pomimo gwałtownego natarcia Niemców na kierunku Lagarde-Vaucourt dowódcy 2. p. Gr. udaje się nie tylko powstrzymać nieprzyjaciela, ale pośpiesznie zebranymi oddziałami — wykonać przeciwuderzenie. W międzyczasie zorganizowane i osobiście kierowane przez dowódcę dywizji, przeciwnatarcie wyrzuca całkowicie Niemców za kanał.

O natężeniu i zaciętości walk 2. p. Gr. w dniu tym świadczą straty: II/2. p. Gr. przestał istnieć, I/2. p. Gr. i III/2. p. Gr. poniosły straty ponad 30%.

Pole walki było zasłane zabitymi i rannymi. Straty własne były ogromne, lecz żołnierze 2. p. Gr. wyszli zwycięsko z tej potwornej 7-mio godzinnej bitwy — a Niemcy zostali wyrzuceni na północny brzeg kanału. Jeśli chodzi o straty niemieckie to — według oświadczenia mera wsi Lagarde — na cmentarzach pod tą miejscowością jeszcze w sierpniu 1940 roku leżało ponad 500 Niemców.

O wyczerpaniu obu stron walką dzienną świadczy noc z 17 na 18.VI. Ustały strzały. Powstało nieoficjalne zawieszenie broni. Lekarze i sanitariusze z obu stron przeszukiwali pole walki. Porozumiewali się nawet ze sobą, wymieniając informacje, gdzie leży ranny Polak czy Niemiec.

W późnych godzinach wieczornych d-ca Grupy "Sarre" nadał gen. Duchowi za osobiste kierowanie przeciwnatarciem "*Croix de Guerre*" z palmami.

Dzień 18.VI. jest jak gdyby dalszym ciągiem dnia 17.VI. Od wczesnych godzin rannych rozgorzała obustronna walka artyleryjska. Główny wysiłek natarcia nieprzyjaciela w dalszym ciągu jest kierowany na odcinek 2. p. Gr.

Około godz. 14. — mimo nadzwyczajnego oporu 2. p. Gr. — Niemcy przełamują obronę i zajmują miejscowość Vaucourt. Wykonane przeciwuderzenie hamuje dalszy ruch Niemców, ale nie wyrzuca ich za kanał. Sytuacja Dywizji jest nadal trudna. Oddziały francuskie odrzucone do tyłu odsłoniły oba skrzydła, które trzeba było zaginać. Niemcy zaś, szczególnie na skrzydle wschodnim wyszli na tyły 3. p. Gr., gdzie dowódca III/1. p. Gr., mjr. dypl. Fuglewicz, parokrotnie przeciwuderzał.

Pomimo bardzo silnego naporu frontowego i na skrzydłach, wielkiego wyczerpania fizycznego i strat, które w dniu tym przekroczyły 30% stanu Dywizji — powierzony nam odcinek został utrzymany. W godzinach wieczornych 1. D. Gr. otrzymała rozkaz przejść do rejonu Baccarat do odwodu, ale niestety z odpoczynku nie mogła skorzystać, gdyż oddziały francuskie, przeznaczone do zamknięcia kierunku Baccarat-St. Dié, rozpłynęły się w okolicznych lasach tak, że od rana 19.VI. oddziały 1. D. Gr. otrzymały rozkaz zorganizowania obrony Baccarat.

Po nawiązaniu styczności, Niemcy nie próbowali więcej nacierać frontowo. Natomiast obchodzili skrzydła. W godzinach popołudniowych — mocno zdziesiątkowane pułki odpłynęły jednak na Raon l'Etape na skutek mylnie wydanego przez dowódcę Grupy zarządzenia do opóźniania.

Dowódca Dywizji, zarządził na godz. 22.30 do m.p. kwatery głównej w Hurbach odprawę wszystkich dowódców samodzielnych oddziałów 1. D. Gr. wraz z francuskimi oficerami łącznikowymi. W dużej sali merostwa Hurbach, nawpół oświetlonej, wśród stosunkowo dużej ilości osób /około 30/ panowała śmiertelna cisza. Wśród tej ciszy gen. Duch przedstawił położenie ogólne i położenie Dywizji, oraz rozkaz Naczelnego Wodza, nakazujący przebijanie się na południe lub do Szwajcarii, następnie treść pisma, wystosowanego do d-cy Grupy "Sarre," gen. Hubert, brak zgody dowództwa francuskiego na przebijanie się na południe i własną decyzję — pozostania możliwie do ostatniej chwili u boku Francuzów, a następnie przesączania się drobnymi grupkami przez wojska niemieckie. Na rozkaz radiowy i pisemny "4444" należy zniszczyć sprzęt, zaopatrzyć żołnierzy w pieniądze, podzielić ich na małe grupki i przebijać się na południe Francji, skąd dalej do W. Brytanii. Dla opieki nad rannymi ma pozostać szef sanitarny dyw. z niezbędną ilością lekarzy i sanitariuszy.

Decyzja gen. Ducha została przyjęta z pełnym zrozumieniem. Była jedynym solidnym rozwiązaniem tej sytuacji.

Rozkaz "4444" został wydany dnia 21.VI. o godz. 7,30 radiem i na piśmie po przekonaniu się, że oddziały francuskie odsłoniły nas, a na tyłach w St. Dié już ustawiają czołgi, artylerię i inną broń i gotują się do kapitulacji. Był to więc ostatni moment do zorganizowanego rozformowania się. O godz. 10,45 dowódca Dywizji pożegnał się ze sztabem. To samo działo się w oddziałach. Potym sztaby i oddziały, podzielone na drobne grupki, rozpłynęły się w lasach Wogezów. Dążyły na południe. Pozostał jedynie sprzęt zniszczony w 90%. To, co nie dało się spalić, saperzy Dywizji wysadzili materiałem wybuchowym.

Jaki rodzaj broni lepiej się bił — trudno powiedzieć. Można stwierdzić tylko, że wszyscy dobrze się bili. Szeregowiec miał zaufanie do oficera, oficer do szeregowego. Nie było żadnej różnicy w tych czasach między żołnierzem-uchodźcą, a żołnierzem-emigrantem z Francji. Na polu walki nastąpiło scementowanie, wzrost zaufania i wiary we własne siły. Wszyscy dowódcy swoją odwagą, spokojem nie tylko świecili przykładem, ale wprowadzali w podziw Francuzów.

Któryż z żołnierzy nie poszedłby w najstraszniejszy wir walki za płk. Ziętkiewiczem? Patrząc na tego olbrzyma, zdawało się, że szuka specjalnie śmierci . . . Znalazł ją niestety w nocy z 20 na 21.VI. pod Raon L'Etape. To jego było zasługą utrzymanie pola bitwy w dwudniowej walce pod Lagarde. Płk. Ziętkiewicz zdobył serce żołnierza. Przekonał się o tym w bitwie 17 i 18.VI. nad kanałem Marny. Gdy przy szosie pod Raon l'Etape leżał martwy, niektórzy żołnierze jego pułku, pędzeni do obozów jeńców w Baccarat, zobaczywszy jego ciało, rzucili się do niego. Niemcy nie użyli broni. Jeden z nich krzyknął: "Zostawcie go, niech sobie przynajmniej teraz odpocznie." Żołnierz niemiecki podświadomie powiedział o płk. Ziętkiewiczu to, co myślał i mówił żołnierz 2. p. Gr.

Któż z nas zapomni płk. Stafieja, dowódcę II/1. p.a.l., który dnia 21.VI. po otrzymaniu rozkazu zniszczenia sprzętu — nakazał ludziom oczyścić sprzęt i na oczach przeszło 20.000 osłupiałych żołnierzy francuskich przyjął defiladę w St. Dié, a następnie wyprowadził dyon za miasto i zniszczył doszczętnie działa i sprzęt.

Warto również przez chwilę zastanowić się nad decyzją dowódcy dywizji—gen. Ducha. Czy była ona łatwa do powzięcia? Czy można było powziąć inną, szczęśliwszą? Dziś z odległości trzech lat — każdy odpowie: naturalnie, że tak, gdyż innej nie można było powziąć.

Wiadomo jednak ile pracy mózgu wymaga powzięcie decyzji na polu bitwy. Od decyzji gen. Ducha nie tylko zależało mniej lub więcej szczęśliwe zadanie ciosu nieprzyjacielowi lub uchylenie się od niego samemu, lecz także dobre imię Żołnierza Polskiego. Decyzję tę będą rozważać — badacz historii wojen, historii powszechnej i może badacz etyki. Takich decyzji nie pobiera się łatwo.


Grób oficera 1 Dywizji Grenadierów w lesie koło fortu Manouviller

Gen. Duch po odebraniu rozkazu Naczelnego Wodza dnia 18.VI. mógł przerwać bitwę i przebijać się całością na południe Francji, mógł kazać podzielić na grupki i przebijać się grupkami — i w końcu mógł kazać bić się do ostatniej chwili, tak jak to zrobił.

Pierwszą możliwość odrzucił gdyż było za późno. Dnia 18.VI. był już zajęty Lyon, o przeszło 500 klm. na płdn. Druga, zaoszczędziłaby paręset żyć ludzkich, paruset rannych, lecz zostawiłaby czarną plamę na naszym honorze żołnierskim, dając powód do twierdzenia, że w chwili krytycznej opuściliśmy aliantów. Decyzja pozostania do ostatniej chwili była jedynie słuszna. Zapłaciliśmy za to drogo, to prawda, lecz my Polacy — płacimy tę ogromną daninę krwi od wieków i to zawsze w imię sprawy słusznej i zawsze w imię obrony honoru.

Ocenił to najlepiej Naczelny Wódz, dekorując gen. Ducha Złotym Krzyżem "Virtuti Militari." Ocenili to Lotaryńczycy i Alzatczycy, stwarzając legendę o bitności żołnierza polskiego. Ocenił cały naród francuski, dając względne warunki bytu licznym rzeszom Polaków w tych ciężkich chwilach. Ocenili to Niemcy, stwierdzając, że na naszym odcinku "biliśmy się tak dobrze, jak oni."

Poniesione straty w czasie stosunkowo tak krótkim, bo od 15.VI do 21.VI., według zestawienia dość ścisłego wyniosły w sumie 48 oficerów i ponad 1.000 szeregowych zabitych, oraz 4.300 rannych. Upoważniają one żołnierzy Dywizji Grenadierów do twierdzenia z dumnie podniesionym czołem, że obowiązek swój żołnierski spełnili od dowódcy dywizji do ostatniego szeregowca jak, w czasie obecnej wojny, żaden z oddziałów polskich na obcej ziemi.

JAN KAMIEŃSKI

Bitwa pod Dieuze

Znowu do tyłu! Maszerujemy nocą po szosach i drogach polnych. Wszędzie pełno uciekinierów z pierzynami, kurami. Widzę również straż pożarną, kilku Francuzów ciągnie wózki dziecięce z winem. Tak samo zresztą, jak . . . w Polsce.

Jesteśmy niezwykle senni. Od trzech dni znajdujemy się stale pod ogniem artylerii albo gdy artyleria się zmęczyła—jesteśmy bombardowani przez lotnictwo. Nie liczę szeregu poprzednich nocy, kiedyśmy musieli "uzupełniać" linię "Imaginot" tak potężnymi umocnieniami, jak szczeliny ppanc. lub schrony przed deszczem. Dziś zaś po całodziennej, obopólnej strzelaninie, wycofujemy się na Dieuze.

W czasie krótkich przerw wyznaczeni przeze mnie dwaj cykliści stale czuwają nad tym, żeby natychmiast wszystkich pobudzić. Żołnierze z miejsca zasypiają, kładąc się na ziemi, o ile już nie spali w marszu. Zmęczenia w nogach zbyt nie odczuwamy, o ile w tym stanie rzeczy można w ogóle co odczuwać. Jednak brak snu nas obezwładnia.

Nadchodzi rano. Wchodzimy do jakiejś wioski francuskiej. Polak tamtejszy daje nam kosz konserw i czekolady, Francuzi wino. Każę natychmiast potłuc butelki z winem, żeby alkohol nie obezwładnił mi plutonu do reszty. Polak zachęca i pociesza żołnierzy, że Weygand z 80 dyw. ma uderzyć gdzieś na tyły Niemców, że Ameryka lada dzień lub godzinę wejdzie do wojny itd.

Skręcamy na "krótszą drogę." Kilku żołnierzy z tyłu nie widząc skręcającej kompanii, idzie bezmyślnie dalej, na gwizdek budzą się i dołączają. W czasie jednej z przerw część żołnierzy oświadcza, że już mają dosyć, że już nie mogą iść i że przecież nie są "niewolnikami." Jestem w konflikcie, nie wiem co robić; czy użyć ostrych środków, czy machnąć ręką na to wszystko. Zastanawiając się, jakoś automatycznie chcę zabrać rkm tym osłabionym, ale właściciel odpowiada: "jo tej masynki nie pusce." Wstaje reszta kompanów za nim i tak dochodzimy do Dieuze.

Tu już po wielkich mapach poznajemy dowódcę baonu mjr. W. i jego zastępcę kpt. G. wraz z dowódcą kompanii. Żołnierze kładą się na trawie, d-cy plutonów idą na odprawę. Tutaj otrzymujemy rozkaz obrony jako przyczółek Dieuze. Nagle słychać huk, oglądamy się i zamiast Niemców widzimy całą kompanię nad sadzawką.

—Psiekrwie, teraz to nie śpią, ryb im się zachciało — rzuca zgryźliwie dowódca kompanii.

Kopiemy szczeliny, stanowiska, przeszkody i jesteśmy już bliscy końca, kiedy przychodzi zmiana rozkazu—mamy cofnąć się 2 klm. za Dieuze i rzekę.

Zabieramy się pośpiesznie do kopania. Czym kto może, kopie. Gleba twarda. Są w robocie noże, bagnety, gdyż kilofy, grzebacze i inne narzędzia górniczo-ogrodnicze częściowo się pogubiły.

Jeszcze raz rozglądam się w sytuacji, jestem z plutonem na wzgórzu, przede mną z lekka wyschnięty zalew wodny i Dieuze. W prawo reszta kompanii do 2 klm., w lewo jakiś stary fort i sąsiednia kompania baonu. Jedyna szosa z Dieuze prowadzi na I i II pluton naszej kompanii. Od tej szosy w lewo 600 m. jest żelazna kładka na wprost przede mną.

Na przedpolu słychać strzały. Biegnę z dwoma żołnierzami i granatami, może uda mi się zniszczyć tę kładkę—gdzie tam. Jeszcze raz sprawdzam ostrzał wszystkich r.k.m. z różnych stanowisk. Pluton kopie gorączkowo, niektórzy już mogą schować głowy. . . .

Strzelanina wzmaga się. Daleko na skrzydłach widzę zmiatających naszych motocyklistów. Tu i ówdzie zaczynają się pokazywać Niemcy i wreszcie jak gdyby falą—zaczynają się zbliżać ku nam. Mam wrażenie osamotnienia, jak rozbitek na skale w morzu. Przypomina mi się oblężenie Zbaraża; czapkami nas nakryją—myślę sobie. Karabiny milczą. Zabroniłem im strzelać, nauczony doświadczeniem z Polski, żeby się nie dać przedwcześnie wykryć — przez artylerię. Wolę się bić z piechotą niemiecką, niż z artylerią — powtarzam w myśli /szczególnie z tą ostatnią byłoby zbyt jednostronnie/. Wolę ich podpuścić na odległość szturmową, a wtedy ich artyleria nie będzie mogła strzelać dla własnego bezpieczeństwa. Nagle gwałtowny ogień art. z naszej strony i widzę jakieś latające przedmioty w powietrzu i Niemcy znikają. Cisza.

—Ale nasi im fest dali— szepczą między sobą strzelcy, którzy nawet okopywanie się przerwali, i momentalnie odzyskali humor.

—A bo leźli jak capy—odpowiada któryś z strzelców, który już cały był zanurzony w ziemi, tylko głowa i nogi mu wystawały.

Słońce dopieka na całego. Część tylko ma wodę w manierkach. Przypominam sobie też, że chce mi się pić i debatuję z gońcem, skąd można wziąć wody. Wtem zza parkanów, 100 m. przed kładką—wyskakuje około 30 Niemców. Pędzą wprost na kładkę. Widzę ich czarne hełmy, pozawijane rękawy, porozpinane kołnierze. Krzyknąłem:

—Kładka, strzelać! — i gdy część Niemców już wpadła na kładkę moje 4 r.k.m. /ten czwarty kupiłem od Francuza za 10 franków/ gwałtownie zaterkotały.

Żeby się tylko nie zdenerwowali—przeleciało mi przez głowę. Ale wspaniałe r.k.m-y francuskie nie zawiodły. Na kładce robi się kotłowanina, część leci do wody, kilku skacze w nią, słyszę wrzask: "Kreuz." Trzech "capów" już jest na naszym brzegu. Hańbą byłoby jednak, gdyby pluton nie dał sobie rady z trzema wariatami. Wokoło mnie aż dudni, po chwili nakrywają się nogami, jeden jest jeszcze żywy, leży na wznak i coś macha ręką.

Strzelanina zwolna ustaje. Piekielnie chce mi się pić, próbuję liści winogron, w których leżę. Widzę, że z boku na forcie jakiś żołnierz-szczęśliwiec zbiera truskawki. Po polu przebiega, łazi i zatrzymuje się jakieś stado krów, które nie wiem jakim prawem się tu wzięły. Z boku słyszę głos plutonowego, dowódcy drużyny jeszcze z Polski, podoficera zawodowego, zalecający staranne przeczyszczenie lufy. Wtem słyszę świst i nim zdążyłem głowę schować, granat artyleryjski wybucha około 100 m ode mnie. To artyleria nieprzyjaciela, której dotychczasowe strzały błąkały się gdzieś na prawym skrzydle i z tyłu po lesie—zaczyna się do nas wstrzeliwać.

Od tej chwili nie mamy już spokoju od artylerii i moździerzy niemieckich. W pewnej chwili pocisk artyleryjski zabija strzelca Piwnego, a drugiego rani. Na razie nie możemy mu dać rady ani pomocy, gdyż nie mamy łączników, a sami leżymy na płaskim wzgórzu. Po kilku minutach jednak mój goniec nagle skacze, łapie rannego za kołnierz i pół przytomnego wyciąga za horyzont i opatruje go. Nie może go jednak odstawić dalej, gdyż jesteśmy nie tylko pod ogniem c.k.m. z przodu, ale i z boku. Nie ma rady—ranny musi leżeć do wieczora. Wojsko zaczyna się wściekać. Po pewnym czasie wyszukujemy obserwatora niemieckiego. Częstujemy go, czym możemy i na pewien czas mamy od artylerii spokój, ale pociski z moździerzy zabijają mi dalszych dwu żołnierzy—Kaczmarczyka i Stępnia.

Oczekujemy wieczoru, urozmaicając sobie czas strzelaniem do ciężko przebiegających od czasu do czasu Niemców i zastanawiamy się, czy też przyleci jakiś samolot francuski, czy nie, bo niemiecki samolot rozpoznawczy, zwany przez Francuzów "kukuk," wyprawia co chce. Żołnierze są źli.

—Cholera, psiakrew — mówi jeden — jak przedtem to latali, a teraz jak bitwa, to nie ma ani jednego naszego.

—Jażem widział jednego przedwczorem—dorzuca strzelec student politechniki.

Nagle powietrze się wściekło. Artyleria, moździerze, c.k.m., r.k.m., kb. tworzą przeraźliwe terkotanie—widzę około ośm niemieckich czołgów. Kilka samochodów i motocykli pędzi na zerwany most. Co za s . . . syny —myślę sobie, ale nasze działka ppanc. nie śpią, pełnym biegiem na ciągnikach wypadają przed las. Kto zdąży wpierw: czołgi, czy działka? Następuje chwila napięcia nerwowego, ale po chwili, ba—po kilku sekundach działka ppor. Sz. wygrywają.

Słychać ostry huk naszych działek, cały batalion rżnie jak w kaczą . . . w jeden punkt. Na bezczelność odpowiadamy bezczelnością, szczególnie rżnie nasza artyleria. Zdaje się, że w powietrzu płynie rzeka pocisków. Niemcy rzucają jakieś rusztowanie na zerwany most. Potem widzę już tylko bryzgi ziemi, latające przedmioty w powietrzu, część fruwającej gąsienicy. Kilku Niemców ucieka. Po chwili wszystko cichnie. Cała bitwa trwała maximum 5 minut.

Nadchodzi zmrok. Wstaję ze swojej jamy, chcę się dowiedzieć co słychać w plutonie, gdyż za dnia przesuwanie się wzdłuż linii było niemożliwością. Idę do lewo-skrzydłowej drużyny, rozmawiam z dowódcą. Żołnierze wyłażą z dziur i winogron. Nagle przylatuje mój zastępca plutonu i powiada, że kilku Niemców jest na prawo, tuż przed nami i że rzucili granat.

Łapię ośmiu strzelców i biegnę w tym kierunku, szukamy, na razie nie ma nic. Wtem przylatuje do mnie strzelec i krzyczy, że dowódca drużyny plut. K. zabity.

—Czyś zdurniał—mówię mu— przecież trzy minuty temu z nim rozmawiałem. Widząc zaś, że jakoś tych Niemców na prawo nie ma, każę zastępcy jeszcze przeszukać teren i jak najszybciej jako czujka zająć stanowisko przy kładce, zanim tam nie przyjdę. Sam zaś lecę do zabitego. Widzę pusty dół.

—Gdzie r.k.m.? — pytam.

Na razie nikt nie wie, ale po chwili ktoś mówi, że wynieśli na nim drużynowego. Żeby ich szlak trafił—myślę sobie—przecież to był r.k.m., ustalony na noc do kładki.

Znajduję kilkanaście metrów z tyłu jakąś grupkę, pytam się kto jest, mówią że plut. K., ale że jeszcze żyje. Obok już leży zmarły st. strz. Łopata.

—Panie poruczniku, ratujcie mnie! W tej chwili znowu koło nas przelatuje kilka świetlnych pocisków—mówi cicho plutonowy.

Pytam się go gdzie dostał, mówi że w prawe ramię i pierś. Pocieszam go, że w serce i głowę to niebezpiecznie, ale w prawe ramię, to daleko od serca, że to nic. Z lekka ogłupiałym strzelcom każę bandażować i tamować krew.

—O, ja tak chcę jeszcze wrócić do Polski—szepcze drużynowy.

Lecę 200 m, żeby jak najszybciej znaleźć lekarza przy d-twie baonu.

—Dlaczego kompania się wycofała? — krzyczy na mnie dowódca baonu.

—Jak to—mówię—przecież nie dalej jak 15 minut temu, przed zmrokiem jeszcze ich widziałem, posłałem do nich gońca przed chwilą, a zresztą mój pluton jest tu na wzgórzu.

Zabieram sanitariuszy i lecę do K. Już skonał przed chwilą, ale na sentymenty nie ma czasu. Co jest z kompanią — myślę sobie. Zabieram dwu strzelców i biegnę do kompanii. Po drodze spotykam działko ppanc.

—Gdzie kompania?—pytam się.

—Wycofała się—odpowiada.

Co robić—nie wiem. Na skraju lasu w prawo słyszę jakieś pojedyncze strzały. Niemcy przecież w nocy nie wojują—myślę. Piję pośpiesznie trochę kawy, zabieram kilku strzelców z ppanc. i idziemy dalej w kierunku strzałów. Na drodze widzę jakąś kolumienkę, widzę nasi, gdzie 7-ma kompania.

—Co pan chce — odpowiada dowódca komp.—Gdzie Pański pluton?

—Na wzgórzu — melduję.

—Dobrze, żeście się nie wycofali — mówi dowódca kompanii. —A to dureń goniec. Przyjechał na motocyklu i powiada, że działka ppanc. pułkowe mają się razem z jednostką wycofać na X. Odszedłem już kilkaset metrów do tyłu, dopiero jakiś oficer ze sztabu pułku zawrócił mnie z powrotem.

Wracam do plutonu. Widzę pluton zebrany i zastępca melduje mi, że był goniec od dowódcy kompanii, żebym się wycofał. Wyjaśniam sytuację, zmieniam ubezpieczenia. Następnie strzelamy kilka białych rakiet dla oświetlenia przedpola kładki i zarządzam spanie na zmianę.

Przed świtem jakiś strzał podrywa mnie, zrywam się i momentalnie siadam. Nie wiem co jest, próbuję wstać jeszcze raz, ale znowuż siadam, a raczej upadam. Nie wiem co jest, ale w prawym bucie coś mam mokro. Spoglądam na but—dziura. Teraz zrozumiałem.

Trzeba jednak przegrupować trochę pluton na dzień. Strzelcy bez najmniejszego szemrania wykonują rozkazy. Wysyłam gońca do dowódcy kompanii. W międzyczasie łuzuje nas 6-ta kompania.

Chodzić absolutnie nie mogę. Odnoszą mnie do tyłu. Tu dowiaduję się, że nasz batalion ma w dalszym ciągu na rozkaz d-cy XX Korpusu bronić się pod Dieuze. Sytuacja baonu jest kiepska, na skrzydłach baon nie ma nikogo, a dywizja zajmuje linię obronną Kanał Marna-Ren.

Odwożą mnie do szpitala.

LUDWIK GLIŃSKI

Na odcinku rzeki Alby

15 czerwca około godz. 10-ej obserwatorzy pułku meldują na dalekim przedpolu obrony patrole niemieckich cyklistów i motocyklistów. Czaty obrony oraz O.R. baonowe szybko się z nimi załatwiły, zadając im duże straty. Kilkanaście minut później grupy niemieckich samochodów pancernych i małych czołgów, wspierane ogniem moździerzy i małych dział na czołgach posuwały się z rejonu Petit Tenquin na Nelling i z rejonu Holving na Kappelkinger. Ruch tych oddziałów był widoczny, jak na dłoni.

Piękna koncentracja ognia obu dywizjonów artylerii położona na kolumnę, posuwającą się na Kappelkinger rozbiła ją prawie doszczętnie. Z punktu obserwacyjnego widać było porozbijane i porozrzucane pojazdy mechaniczne. Jak stwierdzono, rozpoznanie to szło w kierunku zachodnim, prawie równolegle do naszej obrony i dopiero w ogniu artylerii zmieniło kierunek.

Około godź. 13-tej na całej szerokości odcinka pułku i w kierunku na Lening działa według oceny dowódcy pułku, niemiecki dywizyjny O.R. i około baonu piechoty. Nieprzyjaciel drobnymi grupkami czołgów, samochodów lub ludzi bardzo powoli i systematycznie wgryza się w teren, stosując system "przenikania." Jeden z takich oddziałów w sile 1 oficera i kilkunastu kolarzy z pistoletami automatycznymi przedarł się na odcinku II baonu, lecz został zupełnie zniszczony. Czaty nasze są odrzucone, a część z nich została zniszczona przez wozy pancerne.

Około godz. 15-tej Niemcy są w kompletnej styczności z pozycją głównego oporu. Z rejonu Francaltroff Lening słychać również odgłosy walki. Na Insming, wzgórze Dancberg, wzgórze 275 i wzgórze Insming padają pojedyńcze pociski artyleryjskie. Ogień z minuty na minutę wzrasta.

Obserwatorzy meldują na dalekim przedpolu grupy samochodów załadowane piechotą, posuwające się różnymi drogami w kierunku południowym. Samochody te bezczelnie podjeżdżają kolejno do rejonu Grening Pt. Rohrbach, wyrzucają piechotę, która grupami rusza do natarcia. Zgrupowanie artyleryjskie ma doskonały cel.

W dalszym ciągu wciąż widać duże grupy piechoty, wynurzające się z horyzontu i kierujące się na Insming-Kappelkinger. Nasze c.k.m. ze wzgórza 275 i wzgórza Insming oraz moździerze pracują z bardzo dobrymi wynikami.

Do walki weszły i nasze ciągniki, które dowożą niejednokrotnie amunicję, aż do pierwszych linii piechoty. Okazały się one i w dalszych walkach doskonałym sprzętem. Służą nie tylko do przewożenia amunicji, lecz również do przewożenia rannych z miejsc, z których trudno byłoby ich wywieźć.

Artyleria nasza pracuje wspaniale, lecz w bardzo trudnych warunkach. Brakuje jej kabla. Spełnia żądania dowódców baonów niekiedy dość późno. Wykonanie ognia obu dywizjonami odbywa się przy pomocy motocyklistów, wypożyczonych zresztą od piechoty.

Nasilenie ognia artylerii niemieckiej jest bardzo duże. W tym czasie strzelają na Insming i punkty obserwacyjne pułku bodaj 2 dywizjony. Odcinek obrony jest tak zadymiony pociskami nieprzyjaciela, że obserwacja bliskiego przedpola jest zupełnie utrudniona. Pojedyncze czołgi niemieckie podjeżdżają pod stanowiska naszych c.k.m. i działek ppanc. i obezwładniają je ogniem z bliskich odległości.

Niezbyt dobrze czują się nasze c.k.m. w schronach betonowych. Jeden z nich został po prostu wykopany przez pociski artyleryjskie i wyrzucony z ziemi.

Około godz. 16.15 na kierunek Insming-Reims ukazało się natarcie nieprzyjacielskich czołgów w liczbie około 15. Siedem z nich zostało zniszczonych ogniem działek ppanc., reszta zawróciła i schowała się w fałdach terenowych.

Za czołgami tymi posuwała się piechota niemiecka w sile około dwu baonów. Przeszła ona przez płytki zalew w rejonie Rening-Insming. Za odwagę swoją zapłaciła drogo. Natarcie jej załamało się w ogniu naszej broni maszynowej. Niemcy ponieśli tutaj prawdopodobnie bardzo duże straty.

Około godz. 14.30 dowódca II Baonu przejął meldunek radiowy dowódcy kompanii niemieckiego natarcia, że w tej chwili ma już 10 ludzi zabitych i 30 rannych.

W ciągu niecałej godziny natarcie niemieckie zostało zlikwidowane pomimo, że wsparte było dużą ilością ognia artyleryjskiego, moździerzy i broni maszynowej. Po tym natarciu pułkowy punkt opatrunkowy melduje ponad 120 rannych, ewakuowanych do ośrodka ewakuacyjnego dywizji.

W tym samym czasie Niemcy natarli również baonem piechoty, wspartym kompanią czołgów, na styk naszego lewego skrzydła obrony z 178 p.p. piechoty francuskiej.

Natarcie to częściowo zostało zatrzymane. Czołgi niemieckie nie wdarły się w nasze pozycje obrony. Kierunek ten został wzmocniony dwoma działkami ppanc. 25 mm., które były na wtórnej zaporze ppanc. Działka te odegrały bardzo poważną rolę, ponieważ zniszczyły kilka czołgów niemieckich.

Jednak silne patrole niemieckie wdarły się do lasu na płn. wschód od Lening. Spowodowało to wycofanie się Francuzów i zagięcie lewego skrzydła obrony przez I baon. Koło godz. 18.30, gdy zaangażowanie odwodu baonowego nie naprawiło sytuacji, dowódca pułku skierował swój odwód tj. 10 kompanię strzelecką na Lening z zadaniem wyrzucenia tych patroli i osłonięcia lewego skrzydła pułku. W działaniu tym I baon stracił dwa działka ppanc. i 1 ciągnik, które zostały rozbite ogniem niemieckich działek ppanc.

Na całym odcinku pułku trwa walka ogniowa. Niemcy po niepowodzeniach spotęgowali ogień artylerii i moździerzy i bez przerwy zwalczali ogniem pojedynczych czołgów nasze środki ogniowe.

Około godz. 18.45 dca pułku otrzymał zawiadomienie od dowódcy Dywizji, że o godz. 21-szej pułk ma oderwać się od nieprzyjaciela i marszem nocnym przejść do rejonu Dieuze. W tym czasie działania niemieckie prawie ustały. Na przedpolu widać ruch piechoty w kierunku płnc., pozostały tylko czołgi, samochody pancerne i motocykliści. Prawdopodobnie jest to niemiecki O.R. dywizyjny.

Na tyłach pułku w rejonie lasów Alberstroff i dalej na południe widać olbrzymie łuny palących się składów amunicji i benzyny . . .

WIKTOR BIELSKI

Generał Sikorski w Kairze

(Korespondencja własna "Polski Walczącej")



Naczelny Wódz wśród Junaków

Kair, w końcu maja

Przyjazd Naczelnego Wodza na Środkowy Wschód zapowiadany był od dość dawna. Wiadomo było, że generał Sikorski pragnie odwiedzić oddziały Armii Polskiej na Wschodzie, której nie wizytował jeszcze od chwili jej utworzenia. Niespodziewane wypadki polityczne opóźniły przyjazd Generała, jednakże w drugiej połowie maja stało się wiadome, że jest to kwestia dni. Wreszcie we środę, 26-go b.m., dokładny termin przyjazdu został podany do wiadomości nielicznego grona wtajemniczonych osób. Tegoż dnia przed wieczorem pilnie strzeżoną szosą pomknęły ku jednemu z wojskowych lotnisk podkairskich samochody z osobistościami, które miały oczekiwać przybycia Naczelnego Wodza. Na lotnisko przybyli m.in.: brytyjski Minister Stanu R.G. Casey, dowódca Armii polskiej na Wschodzie generał Władysław Anders, poseł R.P. w Kairze Zażuliński, Szef Sztabu generał Klimecki, brytyjski generał Beaumont-Nesbett, amerykański oficer łącznikowy ppłk. Szymański, radca Ambasady R.P. w Ankarze p. Baliński, przedstawiciele brytyjskiego Ministerstwa Informacji z p. Sinclairem na czele oraz brytyjskiego Ministerstwa Stanu, wyżsi oficerowie polscy i brytyjscy oraz dziennikarze wojskowi.

Godzina 18.10 . . . potężny, czteromotorowy "Liberator" ukazuje się nagle i krąży przez chwilę, jak drapieżny ptak nad lotniskiem. Znika za niedalekim wzniesieniem, poczem pokazuje się znowu, tocząc się zwolna po ziemi. Wreszcie staje. Podchodzi ku niemu grono zebranych na lotnisku osób. Otwierają się drzwiczki samolotu i pierwszy wysiada z nich Naczelny Wódz. Długo i serdecznie ściska na powitanie dłoń ministra Casey, wita się z generałami Andersem i Klimeckim i z ministrem Zażulińskim. Za Naczelnym Wodzem opuszcza samolot jego świta. Krótką chwilę trwa rozmowa z ministrem Casey i innymi osobistościami. Wreszcie sznur samochodów opuszcza lotnisko i mknie ku miastu. Samochody zatrzymują się przed hotelem "Mena House," naprzeciwko Piramid, gdzie gen. Sikorski ma zamieszkać.

Ożywiły się orientalne salony hotelu "Mena House," zaroiły od mundurów polskich, rozbrzmiały gwarem polskiej mowy. W cienistej wnęce hotelowego hallu nieraz spostrzec można Naczelnego Wodza, konferującego z generałem Andersem, ambasadorem Romerem lub generałem Klimeckim. Podczas śniadań w sali restauracyjnej ogólną uwagę gości zwracał okrągły stół, ubrany kwiatami, do którego zasiadał codziennie generał Sikorski ze swą świtą i gośćmi. Na górze, w pokojach, zorganizowano od razu coś w rodzaju "kancelarii stanu." Od rana do późnego wieczora terkotały tam maszyny do pisania, wydobywano z pakunków coraz to nowe papiery, rozpieczętowywano pocztę, rozsyłano kurierów.

W drugim dniu swego pobytu Naczelny Wódz wziął udział w obiedzie, wydanym dlań przez ambasadora brytyjskiego w Egipcie, lorda Killearn i jego małżonkę.

Wielki salon w gmachu Poselstwa R.P. . . . Naczelny Wódz w otoczeniu swej świty, personelu Poselstwa, grona wyższych oficerów polskich i dziennikarzy wojskowych, przypina do piersi ambasadora Tadeusza Romera Złoty Krzyż Zasługi z Mieczami. Wygłasza przytem krótkie, lecz pełne treści przemówienie. "Odznaczenie to" — oświadcza — "otrzymuje ambasador Romer za swe nieugięte stanowisko w walce o interesy polskie w najcięższych dla nas chwilach oraz za niezłomną obronę honoru Polski."

Ambasador Romer jest tak wzruszony, że nie może mówić. Wszyscy zbliżają się do niego i winszują gorąco temu, który tyle zdziałał dla setek tysięcy naszych rodaków w Rosji. On i poprzednik jego, prof. St. Kot, byli najserdeczniejszymi, najtroskliwszymi opiekunami tej wygnańczej rzeszy, opiekunami, których teraz, niestety, zabrakło . . .

W dwa dni później kairskie szkoły naszych Junaków w Menie i Heliopolis przeżywały wielkie święto, takie jakie zdarza się rzadko, a zostaje w pamięci — na długo. Odwiedził naszych chłopców Naczelny Wódz. Wiadomość o mającej nastąpić wizycie rozeszła się po obozach lotem błyskawicy jeszcze w przeddzień wieczorem i nocy tej mało kto spał w namiotach i barakach. Stremowani, przejęci chłopcy przewracali się na łóżkach i szeptali między sobą zawzięcie. "Jak to się odbędzie?" "Czy aby będzie zadowolony?" "Co powie?" "Czy będzie z którymś z chłopców rozmawiał?"

Wizytacja rozpoczęła się od obozu w Menie. U wejścia zgromadzili się: zastępca dowódcy łączności Śr. Wschodu brygadier brytyjski Nichols, brytyjski komendant szkoły major Naylor i jego polski zastępca, zespół wykładowców oraz szereg oficerów polskich i brytyjskich.

O godz. 9-ej nadjeżdżają od strony miasta dwa samochody. Z pierwszego wysiada Naczelny Wódz. Przyjmuje raport i wita się z oczekującymi oficerami. Po chwili zaczyna obchodzić klasy. Bo zajęcia szkolne, pomimo tak ważnej wizyty, odbywają się normalnie. Junacka Szkoła łączności wita Naczelnego Wodza pracą. Generał Sikorski pochyla się nad pogrążonymi w pracy chłopcami i przygląda się uważnie ich zajęciom. Rozmawia prawie z każdym, głaszcze płowe główki, pyta o wszystko, interesuje się każdym szczegółem ich życia i pracy. Każe sobie opowiadać o losie rodzin. Z przejęciem słucha tragicznych epizodów tułaczej epopei tylu rodzin polskich . . . Jest widocznie wzruszony.

Po wizytacji chłopcy wraz z personelem nauczycielskim zbierają się na placu ćwiczeń, gdzie Naczelny Wódz ma do nich przemówić Jest to pierwsze publiczne przemówienie Naczelnego Wódza na Środkowym Wschodzie. Wszyscy słuchają w naprężeniu. "Drodzy chłopcy," mówi generał Sikorski, "przywożę wam serdeczne pozdrowienia od p. Prezydenta R.P. i Rządu Rzeczpospolitej. Nosicie miano Junaków i powinniście być dumni z tego miana. Szczęśliwy jestem, że dzięki traktatowi polsko-sowieckiemu mogłem uratować was i wydostać tutaj. Pracujecie tu pod opieką naszego wielkiego i potężnego sprzymierzeńca, W. Brytanii. Korzystajcie z tego, przyglądajcie się Brytyjczykom i uczcie się od nich. Od tego narodu można się bowiem wiele nauczyć, a przede wszystkim dyscypliny wewnętrznej. Pamiętajcie, że w tych tak ciężkich chwilach, jakie przeżywamy obecnie, dyscyplina wewnętrzna jest nam szczególnie potrzebna."

Po przemówieniu, na prośbę chłopców, odbyła się defilada. Wspaniale, dziarsko, dumnie przedefilowali malcy przed Naczelnym Wodzem. "Maszerują, jak angielska gwardia," oświadczył z uśmiechem Naczelny Wódz.

W junackiej szkole mechaniczno-lotniczej w Heliopolis program wizyty był zupełnie podobny. Mówcą był tam już jednak nie Naczelny Wódz, lecz jeden z chłopców. Wzruszony uroczystą chwilą, stremowany, chłopaczek nasz wygłosił do Naczelnego Wódza "przemówienie," w którym wyraził całą swoją i swych kolegów wdzięczność dla tego, który ich uratował i otacza nadal swą ojcowską troskliwością. Na zakończenie ofiarował Naczelnemu Wodzowi kwiaty. Piękne kwiaty wiosenne, które powiedziały więcej może, niż proste słowa polskiego chłopca.

ROMAN FAJANS

Rozmaitości wojskowe

Chylimy czoła przed bohaterami drugiej bitwy o Warszawę. Z końcem kwietnia Niemcy przystąpili do oblężenia warszawskiego ghetta. Z początkiem czerwca walka wciąż jeszcze trwała. "Przeciw 40.000 pozostałych Żydów Warszawy — mężczyznom, kobietom i dzieciom — wysłał Hitler swą "Luftwaffe," oddziały szturmowe, formacje "Wehrmacht" uzbrojone w artylerię, i miotacze ognia." */Evening Standard,* artykuł wstępny z 2.6.43./

Żydzi warszawscy uzbrojeni przez Kierownictwo Walki Czynnej wydali bitwę potędze Hitlera w czwartym roku wojny, w stolicy Polski oddalonej o tysiąc mil od wszelkiej możliwej pomocy. Bohaterstwa tego porywu nie zmniejsza fakt, że działali w beznadziejnej rozpaczy. Pogłębia to jedynie tragedię jakiej nie znają dzieje.

Nie znamy początku ani przebiegu tej walki. Nie znamy jeszcze nazwisk jej bohaterów. Ale wiemy, że ten poryw straceńców walczących bez nadziei przejdzie do historii Polski na równi z nieśmiertelną, pierwszą obroną Warszawy.

* * *

Air Chief Marshal Hugh Dowding otrzymał od króla, w uznaniu zasług położonych w obecnej wojnie, tytuł barona.

Sir Hugh Dowding wygrał dla Anglii i dla świata "*Battle of Britain*" owej pamiętnej jesieni 1940 roku. Zasługa jego jest tym większa, że nie tylko dowodził *R.A.F. Fighter Command* w tej bitwie, ale tę bitwę także przygotował. W roku 1926 został kierownikiem szkolenia */Director of Training* w *Air Ministry/*. Na tym stanowisku wyszkolił owych "nielicznych, którym tak wielu zawdzięczało tak dużo." Malan, Bader, Broadhurst, Finnucane, Beamish to jego "ludzie."

Następnie jako kierownik działu badań */research department/ Air Ministry* był odpowiedzialny za wprowadzenie w służbę myśliwca uzbrojonego w 8 karabinów maszynowych. Dało to "Hurricanom" i "Spitfireom" ową zabójczą przewagę nad "Messerschmidt'ami," która sprawiła, że dumna armada Goeringa powróciła złamana i rozbita z przełomowej bitwy tej wojny. Niemcy stracili od 8 sierpnia do 31 października 1940 r. tylko w walkach dziennych 2375 samolotów, nie licząc maszyn strąconych nocą i nie licząc "prawdopodobnych," ani "uszkodzonych," z których wiele, bardzo wiele na pewno także nie powróciło do swoich baz.

Po "*Battle of Britain*" Dowding został wysłany do Ameryki przez *Ministry of Aircraft Production* celem zorganizowania dostaw samolotów. Po powrocie z Ameryki przeszedł w stan spoczynku. Dzisiaj niewielu jego sąsiadów w Wimbledon wie, że ów wysoki, starszy pan, w czarnym ubraniu, w meloniku i z parasolem, noszący się sztywno, trochę "po wojskowemu," to zwycięzca "*Battle of Britain.*"

Pikantną pointe'ą jest fakt, że książka, którą napisał p.t. "*Twelve Legions of Angels*" nie ukazała się z powodu . . . opozycji cenzora. Dziwna Anglia!

* * *

Znany pisarz wojenny Max Werner wydał w ubiegłym tygodniu w Ameryce nową książkę p.t. "*Attack can win in Forty Three.*" Wyjątki przynosi "*Reynolds News*" z 13.6.43.

Tezy Wernera są następujące: 1/ Bombardowanie samo nie wygra wojny. 2/ Niemcy nie są w stanie pobić całkowicie Rosji. 3/ Obecnie Anglia i Ameryka posiadają wystarczające siły, aby pobić armię, którą Niemcy są w stanie przeciwstawić im na Zachodzie i na Południu.

Werner okazał się w swych poprzednich książkach: "*Battle for the World,*" "*Military Strength of the Powers,*" i "*The Great Offensive*" doskonałym obserwatorem spraw wojskowych i potrafił trafnie ocenić rzeczywiste siły państw walczących. Był jednym z niewielu, którzy umieli docenić potencjał wojenny Rosji Sowieckiej. Zyskał sobie dzięki temu miano "speca" od rosyjskich spraw wojskowych.

Jego pierwsza trafna ocena sprawiła jednak, że obecnie widzi wszystkie posunięcia wojskowe Sowietów przez różowe okulary. Życzymy mu, aby znowu był prawdziwym prorokiem, jednak do jego osądów należy podchodzić ostrożnie. Werner uważa, że "trzy miesiące sowieckiej ofensywy — od listopada do lutego — zawierały więcej momentów decydujących o wyniku obecnej wojny, niż poprzednie trzy lata." To "*overstatement*" pomniejsza tylko zasługę sowieckiego sztabu. Akcja zimowa w Rosji była doskonale pomyślana, jednak wykonanie nie osiągnęło zamierzonego celu. Twierdzenie Wernera, że "bitwa o Rosję południową stała się bitwą o zachodnią Europę, bo toczą ją głównie rezerwy niemieckie z Zachodu," może być prawdziwe, ale jest to znowu tylko niesprawdzona spekulacja.

W konkluzji dochodzi Werner do przekonania, że Niemcy mogą na zachodzie przeciwstawić aliantom tylko 40 dywizji, a ponieważ tylko na zachodzie istnieją strategiczne przesłanki zwycięstwa, więc "drugi front" powinien powstać we Francji.

* * *

N.p. "Liberator" w "*Observerze*" z tej samej daty, w artykule p.t. "*The Wall — and how to breach it*" broni bardzo przekonywająco tezy wprost przeciwnej. "Niemiecka linia obronna jest tego rodzaju, że rozproszenie do najdalszych granic sił niemieckich, zanim decydująca i główna akcja zostanie przedsięwzięta, staje się naturalną funkcją naszej strategii." A zatem nie "drugi front," ale trzeci, czwarty, dziesiąty. Od Kirkenes do Palermo i do Bukaresztu i dopiero wtedy decydujący atak frontowy.

Artykuł "Liberatora" operuje rzecz jasna skrótami, ale wymowa faktów strategicznych ostatniego półrocza przemawia raczej za jego tezą, niż za tezą Wernera. Stalingrad, El Alamein i Tunis były wynikiem "przeciążenia linii komunikacyjnych." Werner twierdzi, że ciosy zadane państwom Osi upoważniają już teraz do "decydującej i głównej akcji"; "Liberator" przewiduje jeszcze dalsze dywersje na peryferiach. Nasza ciekawość nie będzie chyba wystawiona na zbyt długą próbę.

* * *

Słuszne ostrzeżenie dla tych wszystkich, którzy w zdobyciu Pantellarii widzą dowód samowystarczalności lotnictwa bombowego, zawarte jest w reportażu E. A. Montague, korespondenta wojennego "*Manchester Guardian.*" Pantellaria uległa, bo garnizon jej składał się z trzeciorzędnych wojsk /roczniki najstarsze i najmłodsze, oraz miejscowi rekruci, których rodziny i dobytek były także narażone/, bo "moral" tych żołnierzy było złe, zanim jeszcze pierwsza bomba spadła na wyspę i bo wyspa była nieprzygotowana do obrony. Brak było pól minowych na pobrzeżu, brak drutów kolczastych, broń była licha i źle utrzymana i t.d.

Atak powietrzny na Pantellarię miał być może "doświadczeniem" na potwierdzenie pewnych teorii, jednak królik doświadczalny "umarł" śmiercią naturalną.

* * *

Z początkiem ubiegłego tygodnia dokonano zasadniczej zmiany organizacji taktycznej RAF. Powołano do życia na terenie Wielkiej Brytanii "*The Tactical Air Force*" według wzoru, który okazał się tak skuteczny w kampanii tunetańskiej. Jest to pierwszy wyłom w dotychczasowej zasadzie angielskiej, że lotnictwo ma być dowodzone niezależnie od innych rodzajów broni. Istniał wprawdzie od niedawna "*The Army Co-operation Command,*" który obecnie został włączony do "*Tactical Air Force,*" ale była to tylko bardzo nieśmiała i niezbyt udana próba.

Nowo powstała formacja będzie równoważna z "*Fighter,*" "*Bomber*" i "*Coastal Command.*" Jej zadaniem jest jak najściślejsze zespolenie floty, wojska i lotnictwa na polu bitwy. Dowódcą "*Tactical Air Force*" został *Air Vice Marshal* J. H. d'Albiac.

* * *

Rzadko się zdarza, że recenzja jest bardziej sensacyjna od książki, którą omawia. Sztuki tej dokonał Lord Winster, omawiając w "*Evening Standard*" książkę Lorda Keyes'a p.t. "*Amphibious Warfare and Combined Operations.*" Recenzja jego zawiera nie tylko odkrycie sensacyjnej tajemnicy wojskowej, ale także bardzo ostrą krytykę admiralicji.

Lord Keyes twórca i pierwszy "*Director of Combined Operations*" wysunął w 1940 roku projekt pewnej akcji, która mimo aprobaty Churchilla, ministrów wojny i admiralicji, oraz Szefów sztabu nie została wykonana z powodu opozycji komitetów sztabowych, które plan ten sabotowały. Lord Winster wyjawił obecnie, że był to projekt zajęcia Pantellarii. Było to w owym czasie łatwo wykonalne, gdyż fortyfikacje wyspy nie były jeszcze rozbudowane a Włosi ponosili klęskę po klęsce z rąk gen. Wavell'a.

Lord Keyes, którego krytyczne nastawienie wobec admiralicji jest znane z jego wystąpień parlamentarnych /obecnie z Izby Lordów/, nie posuwa się w swej książce tak daleko jak Lord Winster, który cytuje owo rzekome powiedzenie Churchilla, który gdy ujrzał przygarbioną wiekiem postać jednego ze swych doradców wojskowych miał się wyrazić: "Jak widzę mam toczyć współczesną wojnę szczególnie przestarzałą bronią."

DOMINIK SZCZERBIC

POSZUKIWANI

Osoby te jak również ich znajomi posiadający bliższe dane a zwłaszcza adresy zainteresowanych proszeni są o przesłanie ich do Wydziału Rodzin Wojskowych, Ministerstwa Obrony Narodowej / Polish Military Families Office/, 5, West Halkin Street, London, S.W.1.

21. **Mamek** Stanisław 1918 i Marian 1920 /wyjechali transportem do Anglii/ — poszukuje Mamek Franciszek /2 Iran, Paiforce P.F./ /4031/.

22. **Mass** Antoni, lat 28 z broni pancernej — poszukiwany przez Jędrzejak Marię /4031/.

23. **Martynowicz** Włodzimierz, kpt., ur. 1911 r. /z 9 p. ul./ prawdopodobnie pułk ułanów, Szkocja — poszukiwany przez Martynowicz Annę /4 Iran, Paiforce P.F./ /4031/.

24. **Płachecki** Henryk, lat 20, podch. z 10 D.P. — przybył z Palestyny w transporcie z czerwca 1942 r., poszukiwany przez Frankiewicz Annę /3729/.

25. **Przytomski** Alojzy z 8 D.P. — poszukiwany przez Ref. R.W. /2 Iran, Paiforce P.F./ /4031/.

26. **Pełczyński** Roman, 1925, wyjechał z Palestyny transportem do Anglii dnia 23.3.1942 r. — poszukiwany przez ojca ppułk. Pełczyńskiego, który jest w Iranie /4031/.

27. **Płotkin** Piotr, kpt., ur. 1909 r. — poszukiwany przez Płotkin Wandę /6 Iran, Paiforce P.F./ /4031/.

28. **Romaniszyn** Kazimierz, por. inż. lotnik z Warszawy — poszukiwany przez matkę Marię /3728/.

29. **Reszitera** Stefan, podch., lat 26, względnie Resztiny Stefan, piechota Anglia — poszukiwany przez Bachrynowską Zofię.

30. **Rybarczyk** Julian, 1922 r., Szkoła Mar. Woj. Anglia — poszukiwany przez Ref. R.W. /2 Iran, Paiforce P.F./ /4031/.

31. **Stopyra** lub **Stopura** Władysław, W.P. Anglia /ostatnia wiadomość ze stycznia 1941 r./ — poszukiwany przez Stopyra Jakuba /3728/.

32. **Szpakowski** Adam, ppor. z 61 p.p. Bydgoszcz /był w Anglii w W.P./ — poszukiwany przez matkę Augustynę /3728/.

33. **Stopnicki** Zygmunt, kpt. piech., ur. 1902 r. /był w W.P. we Francji/ /3728/.

34. **Stopnicki** Zygmunt, kpt. st. st., ur. 1899 r., syn Waleriana z Baonu Dawidgródek, Brygada K.O.P. Polesie /3887/.

35. **Siemiński** Piotr, ur. 1916 r. z eskadry lotn. — poszukiwany przez Błażuk Jadwigę /4031/.

36. **Turulski** Ludwik /brak szczegółów — ma przebywać w Anglii/ /4265/.

37. **Turzyma-Jarecki** Marian /brak szczegółów — był w Kairze/ /4265/.

Pomoc dla Polaków w Rosji: £9,176

MARYNARKA WOJENNA — POLAKOM W ROSJI

Oficerowie, podoficerowie i marynarze Polskiej Marynarki Wojennej przekazują £150.0.0 /sto pięćdziesiąt funtów/ na pomoc Polakom w Rosji.

* * *

W załączeniu przesyłam £14.12.6 /słownie: czternaście funtów, dwanaście szylingów, d.6/ przekazane z zagranicy do sztabu N.W. przez grono oficerów polskich na rzecz Polaków w Rosji.

mjr. P.

* * *

Przesyłam w załączeniu Money Order F.H. 33428 na sumę £21.5.0 ze składek zebranych na wystawie fotograf. "Through Polish Eyes" w St. Ives /Cornwall/ w czasie od 4 do 12 czerwca b.r.

Paweł Miller

* * *

Nieprzyjęte honorarium £2.0.0 na pomoc Polakom w Rosji.

Jan Buczko

* * *

Please accept the enclosed small donation of £1.1.0 for the Poles in Russia Fund,
from

Rev. O. Burton, M.A.

Pan Redaktor wydawnictwa "Polska Walcząca,"

Zamiast prezentu w dniu imienin mego męża przesyłam £10.0.0 /dziesięć/ na pomoc dla Polaków w Rosji.

Łączę wyrazy poważania

Maria Przybytkowa

* * *

p. L. K. zamiast zapłaty za ogłoszenie w poszukiwaniach sh. 10 /dziesięć/ na pomoc Polakom w Rosji.

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £199.8.6 /słownie sto dziewięćdziesiąt dziewięć funtów, osiem szylingów i sześć pensów/ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

S u m a p o w y ż s z a p o d n o s i o g ó l n ą s u m ę z e b r a n ą d o t y c h c z a s n a t e n c e l z a p o ś r e d n i c t w e m "P o l s k i W a l c z ą c e j" d o £9,176.2.1 /s ł o w n i e: d z i e w i ę ć t y s i ę c y s t o s i e d e m d z i e s i ą t s z e ś ć f u n t ó w, d w a s z y l i n g i i j e d e n p e n s/, 28 d o l a r ó w k a n a d y j s k i c h, 108 p e s e t ó w h i s z p a ń s k i c h, 5½ d o l a r ó w a m e r y k a ń s k i c h i 15 c z e r w i e ń c ó w.

NA JEŃCÓW POLSKICH W NIEMCZECH

W załączeniu przesyłam £14.12.6 /słownie: czternaście funtów, dwanaście szyl., d.6/ przekazane z zagranicy do Sztabu N.W. przez grono oficerów polskich na rzecz jeńców wojennych.

mjr. P.

* * *

J.M. jednego funta zamiast ofiary za Mszę Św. odprawioną przez Ks. Kapelana C.W. Piech.

* * *

St. strzelec F.K. wpłaca za pośrednictwem moim £1 na pomoc jeńcom w Niemczech z okazji otrzymania dobrej wiadomości.

Oficer oświatowy S.P.P.

* * *

Redakcja "Polski Walczącej,"

W załączeniu przesyłam Money Order na kwotę £5 /pięć funtów/ na paczki dla jeńców polskich w Niemczech.

Suma ta jest częścią zysku z kiosku prowadzonego w świetlicy żołnierskiej . . . Baonu Spadochronowego.

J. Masalska, świetliczarka

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Proszę o przesłanie na cele pomocy naszym Jeńcom w Niemczech sh.15 /P.O. w załączeniu/. Pieniądze te stanowią wynagrodzenie za pracę wykonaną w godzinach pozasłużbowych.

Z poważaniem

Bomb. B. Fr.

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £22.7.6 /słownie: dwadzieścia dwa funty, siedem szylingów i sześć pensów/ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

S u m a p o w y ż s z a p o d n o s i o g ó l n ą s u m ę z e b r a n ą d o t y c h c z a s n a t e n c e l z a p o ś r e d n i c t w e m "P o l s k i W a l c z ą c e j" d o £447,12.3 /s ł o w n i e: c z t e r y s t a c z t e r d z i e ś c i s i e d e m f u n t ó w, d w a n a ś c i e s z y l i n g ó w i t r z y p e n s y./

MŁODA POLSKA W INDIACH

Panie Redaktorze!

W "Polsce Walczącej" z dnia 19.IV.43 w artykule "Polacy w Indiach" podpisanym nazwiskiem Arnold Jaskowski, jest mowa o pewnej dziewczynce Krysi, której musiano odjąć nogę.

Ponieważ miałem kuzynów w Brześciu, którzy mieli córkę o tym samym imieniu i mniej więcej w tym samym wieku więc proszę się nie dziwić, że los tego dziecka mnie interesuje.

Bardzo proszę o ile to możliwe, o podanie mi jej nazwiska jak również imion rodziców i dokładny jej adres.

Z góry serdecznie dziękuję i załączam "postal order" na dziesięć szylingów dla tej biednej Krysi.

Przykro mi, że nie mogę przesłać więcej ale jako starszy strzelec nie stać mnie /chwilowo/ na więcej.

Z poważaniem

Stanisław S.

Zbiórka książek dla żołnierzy polskich na Wschodzie

Bezimiennie:

"Kalendarz Kuriera Polskiego na rok 1942." M. Sieniawski: "Z rozważań nad narodowym radykalizmem." "Pomniki ojczystej literatury" /zeszyt I, II i III/. B. Komiat: "Limina apostolorum."

* * *

T. Kiełpiński: "Ku jakiej Polsce idziemy," i 14 broszur.

* * *

P. Fr. Szeląg: trzy numery "Nowej Polski."

P. M. Pasieczny przesłał: B. Prus: "Placówka." Dwa zeszyty "Pomniki literatury ojczystej." T. Lenartowicz: "Bitwa Racławicka." St. Żeromski: "O żołnierzu tułaczu." Cpt. v. Rintelen: "The Dark Invader." "German Failure in Poland." "Collins eightpenny clear school atlas."

* * *

Dla Polaków na Bl. Wschodzie z pozdrowieniami od lotników 28 książek.

Szanowna Redakcjo,

Na razie przesyłam tylko "Poland's first 100,000," "Pisownię polską," "Basic English" i 4 broszury dla Junaków na Wschodzie. Przy okazji postaram się o przysłanie innych, lepszych książek na ten sam cel.

Szczerze oddany, pełen szacunku i uszanowania

Michał Królewicz

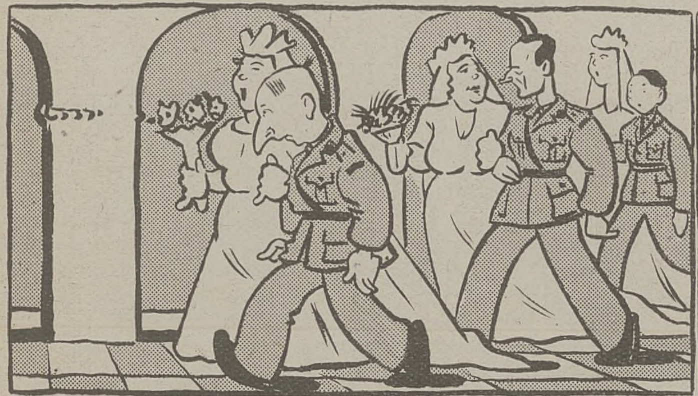
* * *

Dotychczasowa suma zbiórki wynosi 2022 książki.

Tekst: RYSZARD POBÓG

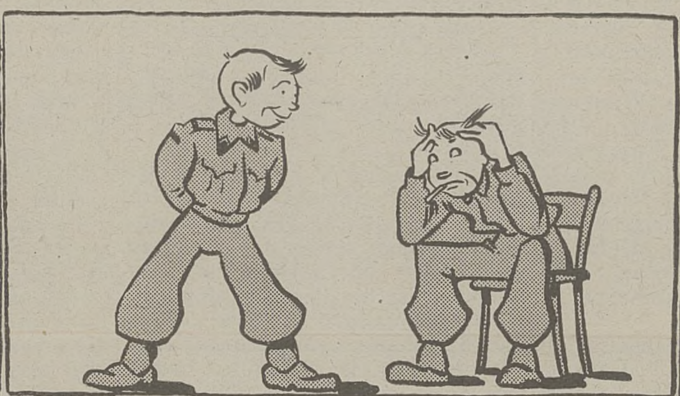
PRZYGODY WALENTEGO POMPKI

Rysunki: MARIAN WALENTYNOWICZ



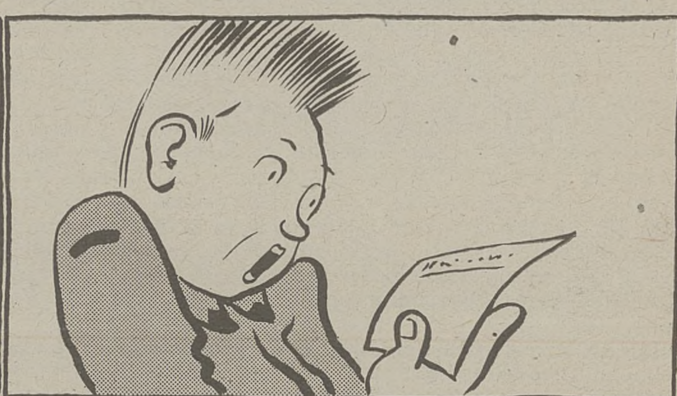
Rezultatów wycieczki
Nie czekano zbyt długo —

Do ołtarza ruszyły
Jedna para za drugą.



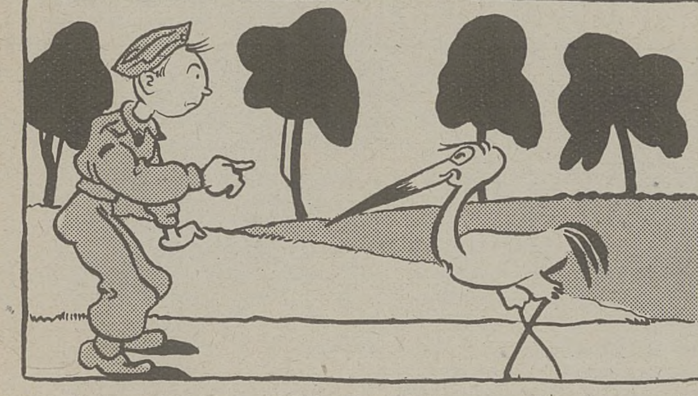
Pompka śmiał się z kolegów.
Rad udzielał, pocieszał,

Aż tu nagle z Chicago
Przyszła dziwna depesza.



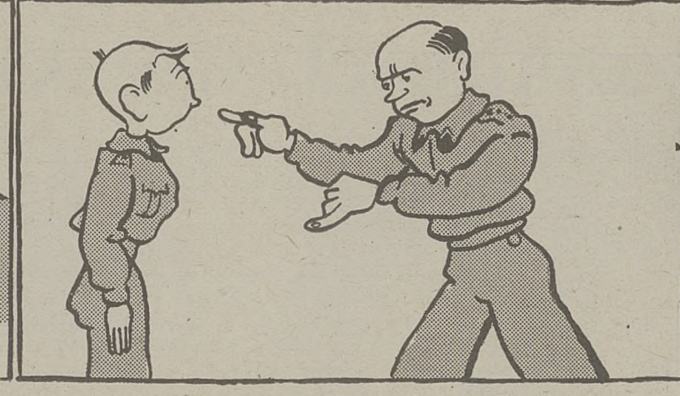
"Pompka. Windsor. Canada.
Ślub w niedzielę. Kup kwiaty.

Przyjeżdżamy. Stop. Czekać.
Many kisses od taty."



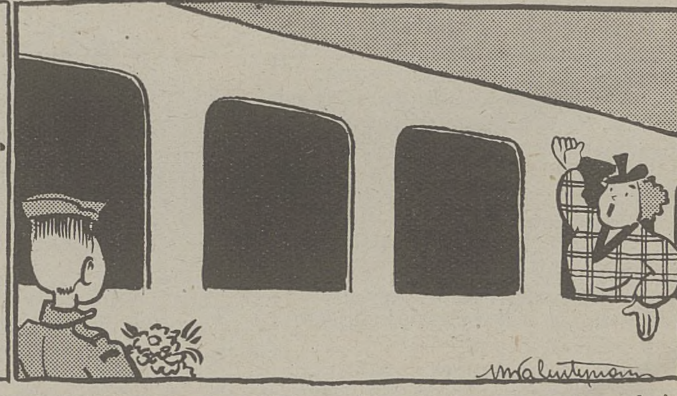
To jest figiel—rzekł Waluś—
Złośliwego bociana!

No i poszedł po radę
Aż do p. Kapitana.



Polak — krzyknął kapitan —
Zawsze mądry po szkodzie!

Trzeba było serduszko
Wówczas trzymać na lodzie!!!



. . . W trzy dni potem Walenty
Był na dworcu. I czekał.

Przyszedł pociąg. A w oknie
Ktoś już wołał z daleka . . .

OŚWIADCZENIE

Niniejszem oświadczam, że niejaki p. Szendorowicz nie był i nie jest współpracownikiem Administracji "Polski Walczącej" i nie był i nie jest upoważniony do rozsyłania listów w jej imieniu.

Kierownik Administracji

KTOKOLWIEK z zainteresowanych Polaków życzyłby sobie NOWY TESTAMENT lub EWANGELIĘ ŚW. JANA w języku POLSKIM proszę się zwrócić pisemnie do pana S.K. Hine, 110, Christchurch Road, London, S.W.2.

SPIS RZECZY:

Wiesław Waligórski: W stronę morza. — *Zbigniew Grabowski:* Szkic sytuacyjny. — Z tygodnia na tydzień. — *M. J. Gordon:* Nowości lotnicze. — *Wacław Frelek:* 1. Dywizja Grenadierów — Ludzie i zdarzenia. — *Jan Rojski:* Na południe od Dieuze. — *Aleksander Janta:* Czerwiec 1940. — *Jan Kamieński:* 1. Dywizja Grenadierów w kampanii francuskiej. — *Ludwik Gliński:* Bitwa pod Dieuze. — *Wiktor Bielski:* Na linii rzeki Alby. — *Roman Fajans:* Generał Sikorski w Kairze /Korespondencja własna/. — *Dominik Szczerbic:* Rozmaitości wojskowe. — Pomoc dla Polaków w Rosji. — Na jeńców polskich. — Zbiórka książek. — *Ryszard Pobóg:* Przygody Walentego Pompki /rysunki *Mariana Walentynowicza*/. — Fotografie. — Mapa.

KOMUNIKAT

Zarząd Związku Dziennikarzy R.P. W.C.1, prosi ponownie wszystkich Członków o podanie Zarządowi adresów członków Związku lub ich rodzin w kraju i na uchodźstwie, podając stopień pokrewieństwa i miejsce pobytu głowy rodziny w wypadku, gdy znajduje się on poza krajem.

Zarząd prosi o podanie wszystkich znanych adresów, nawet w wypadku przeświadczenia, że mogą one być nieaktualne lub że zostały już zgłoszone do Zarządu.

POSZUKIWANIA

LEOPOLD KOSSER z Krakowa /Gujana Bryt./ poszukuje brata Jakuba Kossera, który według ostatnich wiadomości, znajdował się w Rosji. Wiadomości do Redakcji "P.W."

* * *

Poszukuję moich braci: DAWIDA, WŁADKA, JAKÓBA, MOŃKA I USZERA TUCHKLAPER, ostatnio zamieszkałych w Warszawie, ul. Brzeska 18.

Wszelkie wiadomości proszę kierować: Etta Tuchklaper, 15, Long Acre, Londyn, W.C.2.

* * *

KORNICKI WOJCIECH ze Str. Gran., poszukiwany przez Jana Mątwę, 22, Derby Road, Blackpool, który posiada wiadomości od jego rodziny.

WYDAJE WYDZIAŁ PRAC KULTURALNO-OŚWIATOWYCH MIN. OBR. NAROD.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej—13-ej.
Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh. 20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy—2sh. za wiersz.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for "Polska Walcząca" by St. Clements Press, Ltd., Portugal St., Kingsway, W.C.2. Registered at the G.P.O. as a newspaper.